№ 25. Warszawa, dnia 18 (6) Czerwca 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Od 1-go lipca r. b. redakcya „Prawdy", mieścić się będzie przy ulicy Włodzimierskiej (róg Ś-to-Krzyskiej), w domu Wgo Walfisza pod nr. 2.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału, upraszamy szan. abonentów prowincyonalnych o wczesne nadsyłanie przedpłaty dla uniknięcia zwłoki lub przerwy w odbiorze pisma. Ci, którzy nie zdążą przesłać pieniędzy a życzą sobie nadal otrzymywać **Prawdę**, zechcą uwiadomić nas o tem listownie.

„PRECZ Z MARZENIAMI!"

W jednym w pierwszych numerów *Prawdy* zaznaczyliśmy wielką zmianę, jaka od lat kilkunastu zaszła w politycznych przekonaniach polskiego ogółu. Fakt ten, przez nikogo wówczas nieprzewidziany, jest obecnie tak wyraźnym, że przestaliśmy mu się dziwić, a nawet go obserwować. Od lat dziesięciu przeszło, zwłaszcza w Galicyi, odzywają się bezpiecznie głosy patryotyzujące, za które dawniej... wybijano szyby lub wyprawiano kocie muzyki. Głosy te, zpoczątku lękliwie, potem śmielej wypowiadać zaczęły myśl rozbratu z tradycyami politycznych rewolucyi, pogodzenia się z koniecznością i — co najważniejsze — zrzeczenia się nadziei oraz chęci odzyskania bytu niepodległego. Rady takiej nikt, pod groźbą odstępstwa, nie śmiałby nam dać przed laty kilkunastu, dziś obiega ona literaturę wraz z innymi pomysłami, niepozbawiona praw patryotyzmu. Jak daleko zaszliśmy w tym kierunku, przekonywa kiążka, nad którą zastanowić się mamy: *Rzut oka na politykę austryacko-polską 1880 roku.*

Broszura ta wydana została (w Krakowie) przy końcu roku zeszłego; upłynął więc czas dostateczny do zbudzenia się zgrozy, gdyby taka zgroza zbudzić się miała. Tymczasem w naszej prasie nie spotkaliśmy dotąd nawet półsłówkowego protestu — więc podobnych opinij już słuchamy spokojnie. Autorem jej jest p. Jerzy Moszyński— „szczery przyjaciel" stronnictwa stańczykowskiego, które „ster przyszłości narodu (Galicyi) dzisiaj w ręku trzyma"— więc apostoł niepodejrzanej wiary politycznej, a nawet, jako szczery katolik— i religijnej. O cóż chodzi temu, prostującemu polskie ścieżki polityczne?

„Przed każdą epoką historyi — powiada autor — przed każdym zwrotem życia narodowego stoi zawsze wypisana górująca nad innemi data, która przez długie lata ciążąc na życiu narodów, jest powodem, wytłomaczeniem i matką późniejszego rozwoju. Taką datą jest dla nas dziś rok 1863." Dla objaśnienia ostatnich faktów, autor cofa się nieco wstecz i wydłubuje zarówno logicznie jak historycznie nieszczęśliwy komentarz, który ma tę jedynie wartość, że odrazu poznajamia nas z socyologicznem stanowiskiem pisarza. Według p. M., szkoła filozofów XVIII w. wyrywając kąkol, wyrwała i pszenicę. „Zwycięzki pochód rewolucyi, który mieczem Napoleona narzucał światu całemu zasady *przewrotu*(?), nie pozostał bez stanowczego wpływu na dalsze ludzkości losy... *Zamętowi* pojęć i wyobrażeń nie oparły się nawet prawodawstwa państw europejskich: prawa człowieka zyskały obywatelstwo w kodeksach i ustawach." Z tego to chaosu wyłonił się u nas „kierunek patryotyzmu chorobliwego, niebezpiecznego, reprezentowanego przez znaczną część emigracyi naszej, znurtowaną zasadami rewolucyi międzynarodowej (Pindter!) i nurtującą nawzajem młodzież i miasta nasze." Otóż nauczony doświadczeniami naród przejrzał i dostrzegł, że zbawić go może nie rewolucya, lecz praca. W jednej tylko Galicyi nie zaginęła myśl odzyskania utraconego bytu środkami wojennymi. To też robi ona ciągle ataki na Austryę, pobudzając ją przy każdej sposobności do politycznych awantur w imię i dla polaków. Zamiast uznać się za część monarchii austryackiej i żyć jej życiem, Galicya spekuluje na własny rachunek i dla własnych celów, chce ciągle wepchnąć państwo w grę niebezpieczną. Tak było w czasie wojny francusko-pruskiej i wschodniej, tak jest ciągle. Tymczasem — powiada autor —„gdybyśmy zamiast rozbijać się jak ptak zbłąkany po sklepieniu sprawy polskiej, rozpatrzyli się byli trzeźwo w położeniu europejskiem i w granicach możliwości dla Austryi, a nie dla swych marzeń siły swe i pracę poświęcali, do innego już dotąd doszlibyśmy byli w monarchii stanowiska i nie potrzebowalibyśmy teraz, należąc do decydującej większości parlamentu, żebrać bezskutecznie i dopraszać się o ministeryalne krzesła, których nam systematycznie odmawiają i odmawiać muszą (nominacya Dunajewskiego osłabiła tę wróżbę)... Nie polską, nie austryacką, nie austryacko-polską jest nasza polityka, lecz jest ona nieprzerwalnym ciągiem polityki emigrancko-studenckiej, rodzonem dzieckiem tej, która, według słów margrabiego (Wielopolskiego), wyczekiwała pod Częstochową floty francusko-angielskiej... Jakże inaczej — czytamy w innem miejscu — mogłoby wyglądać już dotąd nasze polityczne stanowisko, gdyby zamiast skazywać się na polityczną bierność ciągłem nawoływaniem o sprawę naszą, zamiast

bezmyślnie pracować nad tem, żeby wszystkie najważniejsze zagadnienia polityki europejskiej od lat siedemnastu, nietylko bez nas, lecz przeciwko naszemu zdaniu rozwiązanemi być musiały; gdybyśmy biorąc czynny udział w ich rozwiązaniu, nauczyli się byli szukania i uwzględniania w polityce zewnętrznej przedewszystkiem rzeczywistego interesu monarchii i podążania krok za krokiem do tego celu, który za konieczny warunek rozwoju, potęgi i przyszłości Austryi uważamy.“

A zatem, według autora broszury, galicyanie powinni zacząć myśleć, czuć i działać nie wyłącznie po polsku, ale i po austryacku, powinni przestać atakować i narażać swój rząd na adwokatowanie za polaków lub bicie się o nich. Obowiązek ten spoczywa głównie na stronnictwie, „przodującem narodowi,“ t. j. na stańczykach krakowskich, których lojalność i rezygnacya są jeszcze dla p. M. za małe i z których organem, *Czasem*, przez całą broszurę polemizuje.

Wytknąwszy taką drogę stosunkom polsko-austryackim, autor zastanawia się nad polsko-rosyjskimi i wyśpiewawszy hymn pochwały na cześć naszej „powagi, pracy energicznej i niezmordowanej,“ w której za najgłówniejsze brzemię zdaje się uważać upadek gorzelni (71), wykazuje galicyanom, że nieopatrznem, nierozsądnem drażnieniem Rosyi utrudniają nam życie i pojednanie. „Nie przestaną utrzymywać — mówi on — że bezustanne nawoływanie do krucyaty przeciw Rosyi i bezmyślne agitowanie się w tem błędnem kole nie jest ani programem, ani działalnością polityczną... Zaprzestańmy raz przecie narażania owoców polskiej pracy na zniszczenie dla wywołania efektu w Radzie Państwa lub dla urozmaicenia wstępnych artykułów; przestańmy szukać poznania polskich stosunków w bujnej wyobraźni marzycieli lub po redakcyach gazet, a dojdziemy do zdrowego sądu i do znajomości prawdziwego położenia, prawdziwych potrzeb narodu i prawdziwych obowiązków naszych zarówno względem Królestwa, jak względem Galicyi.“

Słowem, jak brzmi zasadnicze przekonanie autora?

„Istnienie nasze, jako państwa niezależnego, odrębnego, jest rzeczą niemożliwą.“

Jaka rada?

„Wymazanie niepodległej Polski z ostatniego nawet planu naszych (galicyjskich) widoków i aspiracyj.“

„Precz więc z marzeniami!“ (69).

Nie do nas należy obowiązek, bo nie my posiadamy możność szczegółowego rozbioru broszury p. Moszyńskiego, która dziwnym trafem wyśliznęła się uwadze *N. Wremieni* i *Moskowskich Wiedomosti*. Rzuciliśmy tylko promień światła na jej podstawę, która stanowisko partyi krakowskiej, wysunięte dotąd na kraniec, chce w kierunku poddania się posunąć jeszcze o kilka kroków dalej. Zalecać biednemu panu, który straciwszy wszystko, sługą być musi, ażeby nie myślał o zaduszeniu swego gospodarza, lecz odrabiał pracą postradane mienie — rzecz uczciwa; ale złajać go za to, że u tego gospodarza pragnie jak najwyższe zająć stanowisko i *marzy* o świetnym losie swych potomków — morał co najmniej niedorzeczny. Ci moralizatorowie polityczni sądzą, że z ludzi jak z naczyń można powypuszczać jedne uczucia, przekonania, dążenia, i nalać ich drugiemi, z dnia na dzień. Każdy głos otrzeźwiający społeczeństwo, zganiający rozproszoną po Europie i żebrzącą łask po jej dworach rzeszę polityków awanturniczych do kraju, do pracy, każde wskazanie maligny i uprzytomnienie rzeczywistości — jest zarówno dla Galicyi, jak i dla nas bardzo pożądanem. Ale nie trzeba z ludzi robić psów, strzegących cudzego podwórza i cudzego spichrza. Miarkowanie naszych dążeń pozostawmy tym, których to jest interesem i potrzebą; my posuwajmy się ustawicznie, dopóki tylko grunt uczciwości i prawności starczy. Nie chodzi o leczenie nas z *marzeń*, bo te są dobroczynne i pobudzające, ale ze *złudzeń*, które są szkodliwe i zabójcze. Gdy więc pp. Lisiccy i Myszyńscy wołają: „precz z marzeniami,“ my mówimy tylko: „precz ze złudzeniami,“ a naturalnie zawsze precz z tym rodowo-klerykalnym, niby przez Opatrzność naciągniętym bębnem, na którym p. Myszyński chce wybijać takt pochodowi życia polskiego.

SŁOWA PRAWDY.

III.

(Pod wezwaniem Cyryla i Metodego.)

Niezadługo zatem ma się odbyć w Rzymie wiec katolicko-słowiański, poświęcony uroczystości kanonizowania dwu apostołów: Cyryla i Metodego. Przeciwko tej „uzurpacyi“ kościoła katolickiego zaprotestowali już wyznawcy obrządku wschodniego, twierdząc, że owi dwaj mężowie są wyłączną ich własnością. Nie rozstrzygając sporu, w którym nie mamy żadnego moralnego interesu i którego przeważenie na tę lub inną stronę jest dla nas zupełnie obojętnem, zastanowimy się nad jego przedmiotem w tym punkcie, który wydaje nam się najważniejszym.

Jakkolwiek wierzymy w gotowość artystów dewocyi do uprawiania sztuki pielgrzymek dla sztuki, nie sądzimy jednak, ażeby im szło tak bardzo o pozyskanie dwu nowych, chociażby sławnych świętych. Ukanonizowany Olimp jest dość liczny i nowych posiłków nie potrzebuje. Jeżeli więc pobożna rzesza z rozmaitych ziem słowiańskich pospieszy do Rzymu, to niezawodnie zaprowadzą tam ją przewodnicy po coś innego. W domysłach gubić się nie będziemy: owo zgromadzenie słowian przed ołtarzem Cyryla i Metodego ma na celu zawarcie ślubu politycznego. Austrya, z której ta pielgrzymka głównie wypłynie, z nabytkami po wojnie wschodniej i ze wzmożeniem się w jej łonie żywiołów słowiańskich.

---

4)

OPIEKUNOWIE

przez

Szczedryna.

Słuchałem tego aktu oskarżenia, a słuchałem go, muszę wyznać, nie bez pewnej obawy. Pytałem siebie nie o to, jakie skutki może wywołać ta cała gadanina dla Parnaczajewa—wiedziałem dobrze, że skutki są z góry przewidziane — ale o to, czy można żyć w takiem otoczeniu, pośród takich rozpraw? Wszak głupota nie zawsze ogranicza się na obrażaniu zdrowego rozsądku. W większości wypadków, wywołuje ona nadto śmiałe przeskoki do prozelityzmu. Nie poddaje się przekonaniom rozumu, ale żąda raczej, żeby rozum poddał się jej przekonaniom. Starcie następuje nie nagle, ale że nie wątpliwie nastąpi — ręczy za to olbrzymi zapas wolnego czasu, którym zawsze rozporządza głupota. Pomyślmy, ileż barbarzyńskiego tragizmu kryje się w tej mającej nastąpić kolizyi!

Po stronie głupoty — przyzwyczajenie, obawa niewiadomości, brak wiedzy, niedostatek odwagi. Wszystko, co oddaje człowieka na ofiarę ciemnym siłom, wszystko to ofiaruje jej swoje usługi. W tem otoczeniu, mając w pogotowiu swój własny kodeks życiowy, do takiego stopnia napełnia powietrze jego miazmatami, że wdychanie tych ostatnich staje się obowiązującem. Każde zjawisko otrzymuje od niej szczęśliwe znaki, każdy fakt znajduje gotowe objaśnienie, na pół empiryczne, na pół mistyczne.

Jak powstały takie znaki i objaśnienia, tego naturalnie ona nie wytłomaczy, ale bo tłomaczeń nie potrzebuje, gdyż niewytłomaczoność nietylko nie podkopuje jej kodeksu, lecz jeszcze bardziej upewnia o jego stanowczości. Odmowa albo wątpliwość, wcale nie wywołują zastanowienia nad jej wymaganiami, wzbudzają w niej tylko zdziwienie. Od zdziwienia przechodzi do uporu, od uporu — do groźby. Wczas daje jej najdziwaczniejsze środki w duchu prozelityzmu; zawsze próżna, zawsze ruchliwa, kręci się niezmęczenie przy wątpiących i stopniowo ściąga, zwęża swoje koła. I oto nastaje chwila, kiedy napada gwałtownie i nie krępując się formalnościami, wprost wyjawia swoją sentencyę. Nie wierzysz w oznaki — bezbożnikiem jesteś; nie płaszczysz się — jesteś rozprzestrzeniaczem idej rewolucyjnych, buntownikiem, wrogiem powag; zapatrujesz się krytycznie na pewne zjawiska społeczne — jesteś rozpustnikiem, pragnącym zburzyć podstawy społeczne...

Ponownie zapytuję: jak żyć i nie zginąć w takiem otoczeniu, wśród wiecznego brzęku niedorzecznych rozmów, nie mając nic przed oczyma, prócz widoku spraw głupich?

— I pan możesz dowieść, że Parnaczajew czynił to wszystko, coś o nim przed chwilą opowiedział? zapytał tymczasem Kołotow Tierpibiedowa.

— Co tu dowodzić! Głośne w całym okręgu!

— Wie pan jednak, jestto tak ciekawe, że chciałbym, abyś pan wyjaśnił trochę. Co znaczy, naprzykład, wyrażenie: „doradzać protoleryat?“ albo drugie: rozpuszczać proklamacye?“

— Daruj, Sergiuszu Iwanowiczu, lecz nie uczyłem się szkodliwych idej, na uniwersytetach nie bywałem, wiem, co szkodliwe i więcej niczego mi nie potrzeba. Tak!

— Zawsze jednak należałoby rozumieć, na czem polega szkodliwość.

— Mówię panu, że cały okręg potwierdzi. A naprzód tutejszy gospodarz, i przytem oto ksiądz dobrodziej. Czyliż potrzeba lepszego dowodu — osoba duchowna!

— Mogę świadczyć i to nietylko sam, ale i innych godnych wiary świadków

skich, podjęła rolę przewodniczenia im na południo-zachodzie. Korzystając z przyjaznych okoliczności, które pozwalają jej bez trudu i współzawodnictwa zapanować nad słowiańską mgławicą i wytworzyć z niej pod własnem kierownictwem systemat skojarzonych ciał politycznych, rozwija dotąd utajoną, ale niewątpliwą w tym kierunku działalność. Nie powiemy, ażeby to była robota samego rządu, bezwątpienia jednak osłania on ją swem skrzydłem i kiedyś, gdyby się powiodła, wyciągnie z niej korzyści. Tymczasem pozwala objawiać się skierowanym ku temu celowi prądom.

Pomijając kwestyę, gdzie kryją się właściwi reżyserowie zamierzonej pielgrzymki, zapytajmy, czy ona może osiągnąć jakiekolwiek skutki polityczne. Wątpimy. Cyryl i Metody nie zwiążą rąk, które się przedtem nie uścisnęły. Zanadto mało zrobiono dla zbratania słowian południowo-zachodnich, ażeby jedna religijna wędrówka do Rzymu, do tego Rzymu, który dziś przestał być mocnym węzłem narodów, mogła wywrzeć wpływ trwalszy. Zresztą, jeśli Stolica Apostolska może jeszcze zaciężyć na sprawach politycznych, to tylko w obrębie katolicyzmu; dla innych kultów wspólnym mianownikiem nie jest. Powiemy więcej: gdyby części Słowiańszczyzny południowo-zachodniej poczuły kiedykolwiek siłę wzajemnego do siebie przyciągania, Rzym ją osłabi, bo nie będzie mógł zadośćuczynić potrzebom i żądaniom pierwiastków, leżących po za granicami jego władzy. Według naszego przekonania, unia najbliżej spokrewnionych narodów nie może się dopełnić na podstawie czynnika, którego punkt ciężkości tkwi po za kołem ich społecznego życia. Nie wątpimy, że wiec religijny przed obliczem wspólnych świętych zdolny jest na chwilę pobratać swych uczestników; ale braterstwo to nie przetrwa śladów przygodnego entuzyazmu, całusów, uścisków, rozdawanych i przyjmowanych w odurzeniu. Gdy głowa wyszumi i serce oziębnie, wtedy Cyryl i Metody daremnie je będą rozgrzewali pamiątkami wspólnie obchodzonego święta.

Naszem więc zdaniem, jeżeli pielgrzymka do Rzymu przedsięwzięta jest w celu politycznym, nie opłaci trudów i kosztów świętopietrza. Jestto operacya chybiona, bo pod wezwaniem Cyryla i Metodego nie da się dziś nagle zbudować świątynia braterstwa południowo-zachodnich słowian, dla której praca, jednocząca ich, nie założyła ani jednej podwaliny. Zbyt wiele ufności świeckiej mamy do aktów religijnych, często nawet nie pojmujemy, ażeby jednostki i społeczeństwa w inny sposób trwale łączyć się mogły. Historya jednak przekonywa, że kadzidła wzajemnej pobożności ulatują szybko i pozostawiają niesprzężone interesy, niepogodzone dążenia, które rozrywają naprędce skleconą unię. W Słowiańszczyźnie południowo-zachodniej poważnych usiłowań do sojuszu nie widzimy, a nie zastąpi ich wcale nawet najliczniejszy spacer pątniczy do Rzymu.

M. S.

WYSTAWA SZTUKI

zastosowanej do przemysłu.

Nieśmiertelną przestrogą i wskazówką dla każdego przemysłu pozostanie rezultat wystawy w Filadelfii, który stał się wyrokiem tak strasznego upokorzenia dla Niemiec. Podczas gdy Francya w wyrobach swoich objawiła niezmierną rozmaitość pomysłów estetycznych, Niemcy ugrzęzły w niezdarnej jednostajności, w figurach kilku swych jenerałów i mężów stanu. Wynik tego porównania ujawnił najwymowniej, jak ważną rolę gra w przemyśle sztuka. Nie ulega wątpliwości, że jest ona nadewszystko płodem naturalnych uzdolnień, których ani wysiłki pracy, ani szkoły całkowicie zastąpić nie mogą. Pod tym względem francuzi przodują całemu światu, i pomimo wszystkich morałów, protegujących wyroby krajowe, dopóki w narodzie tym nie wygasną siły szczególnej wyobraźni, będzie on ustawicznie zwyciężał wszystkie inne w dziedzinie gustu. Co pomoże najpoczciwsza deklamacya i prześladowanie cudzoziemszczyzny, jeśli piękny wzór materyi francuskiej, pomijając jej gatunek, zaćmi niemiecką lub polską? Co pomoże patryotyzm wobec misternie wyrobionego wachlarza, przy którego kupnie strojnisia zapomni o powinnościach obywatelskich względem przemysłu krajowego? Spójrz czytelniku na lampę, która przed tobą stoi: jeśli to zwykły wyrób niemiecki lub miejscowy — patrz, jaką ona ma niezgrabną podstawę, jaka ciężka, jak obok niej wygląda lampa francuska, zgrabna, w oryginalny i estetycznie ozdobiony kształt ujęta! Niedoścignieni pod tym względem francuzi nie pozostawili jednak swego przemysłu na los przyrodzonych natchnień, lecz zapewnili mu rozwój szeroką organizacyą estetycznego ukształcenia. Bezpłatne szkoły, muzea, wystawy pielęgnują i wytwarzają w narodzie zmysł artystyczny, utrzymują łączność przemysłu ze sztuką, uczą opromieniać pracę rzemieślniczą światłem prawdziwego piękna.

Myśl tę właśnie, w małym zakresie naszych sił i środków, podjęło warsz. Muzeum Przemysłowo-Rolnicze, urządziwszy otwartą obecnie „wystawę sztuki, zastosowanej do przemysłu." Popełnilibyśmy wielką niesprawiedliwość, gdybyśmy ten zawiązek zmierzyć chcieli skalą porównania z podobnemi przedsięwzięciami za granicą. Musimy zgodzić się, że „czem chata bogata, tem rada," a zamiast grymaszenia, pochwalić chęć dobrą. Dla pomnożenia tego bogactwa wystawiono nietylko przedmioty współczesne, ale i dawniejsze. Pomysł bardzo szczęśliwy. Dla czego obecnemu obrazowi zastosowania u nas sztuki do przemysłu nie mają przyjść w pomoc wzory starsze? Wszak idzie o kształcenie smaku, nie o popis teraźniejszych jego objawów. Jakkolwiek i szersza publiczność na oględzinach skorzystać może, mniej wszakże ważnem jest przelotne gapienie się cie-

---

przedstawię, nawet z tych samych obałamuconych przez pana Parnaczajewa włościan. Albowiem, chłop, chociaż chętnie skłania ucho do szkodliwej namowy, do przewrotnych tłomaczeń różnych zjawisk, nie jest on jednak bez skruchy, zwłaszcza zaś gdy widzi, że władza żąda odeń szczerego przyznania się do winy.

— Ślicznie; niechże tedy ojciec opowie, co ma osobiście świadczyć przeciwko panu Parnaczajewowi?

Ojciec Arseniusz zamyślił się i przez chwilę szczypał rzadkie, ledwie widzialne włoski na swej brodzie.

— Czy to jednak nie będzie stratą czasu? — wymówił nakoniec, patrząc z po za okularów na Kołotowa.

— Dla czego?

— Bo widzę, że jakoś nasze słowa nie wzbudzają w panu wielkiego zaufania...

— Hm... to znaczy, że i ja stałem się w pańskich oczach podejrzanym... Prędko!... Nie, nie, jeżeli tak, to opowiadaj pan. Wszak dotąd jeszcze ojciec nic nie powiedziałeś, prócz tego że deszcz z obłoków pada.

— A czy to mało?

— Nie wiele. Opowiedz pan, proszę.

— Dobrze, nawet z największą przyjemnością. I ja miałem z nim wypadek — osobiście ja!... Przychodzę często do Parnaczajewa, jako do swego duchowego syna...

— Jakto?... Więc pan Parnaczajew zwierza się wam duchowo, ojcze? Spowiada się u was?

— Tak, tak. Tylko, naturalnie, dostrzegłem, że to była jedna więcej obłuda z jego strony...

— I to napewno?...

— Palców swoich w duchowe rany pana Parnaczajewa nie kładłem, ale wnoszę z innych postępków...

— A o innych postępkach wnosząc z tego... zresztą, mów pan dalej.

— Otóż, przychodzę do niego, ot tak, na gawędkę, a mam na myśli inny przedmiot, i widzę, że, panie, w przedpokoju niema nikogo, gdy tymczasem z gabinetu dolatuje mnie jakaś rozmowa. Stanąłem tak podedrzwiami, jak gdyby dla obtarcia nóg, i słucham.

Słyszę te same wyrazy: protoleryat, emancypacya, biurokracya, plutokracya... A potem nawet o fabryce sera. Jeden głos mówi: pan po uszy w deficycie; urządzaj pan stowarzyszenia robotnicze, fabrykuj sery — a deficyt zniknie. Drugi głos odpiera: dobre to, bo dobre, ale jakże, mleko teraz zjada dziatwa, a wtedy poszłoby przecie na deficyty? Iznowu mówi głos pierwszy: fabrykuj pan sery, bo jakkolwiekbyś się kręcił, dwóch zajęcy nie złapiesz: albo dziatwę mlekiem karmić, albo oczyszczać deficyty. A drugi mu na to: podług mnie, niech już tam lepiej dzieci jedzą. A podług mnie — mówi znowu głos pierwszy — lepiej usuwać deficyty, gdyż terminowe wypłacanie długów jest pierwszą oznaką człowieka, który dojrzał do swobody. Pięknie. Zaledwie jednak, panie, zdołał wymówić wyraz „swoboda." aż tu, panie podemną podłoga skrzyp! Waleryan Pawłowicz zaraz powolutku, powolutku, na palcach — prosto do drzwi. Stało się to tak prędko, że nie zdążyłem nawet mrugnąć. Słowem, tak mnie panie, schwytano, że ani rusz! Stoję tedy we drzwiach i widzę tylko, że w gabinecie siedzi włościanin Łukasz Prochorow, zdaniem mojem, najszkodliwszy z buntowników. „Jeżeli pan— powiada do mnie, pan Parnaczajew — przychodzisz w odwiedziny, to idź wprost, a nie stój podedrzwiami i nie podsłuchuj!" A Łukasz Prochorow zaraz za czapkę i mówi: „innym razem, Waleryanie Pawłowiczu, pomówimy o tym przedmiocie, za dużo nas teraz." Ja udałem, że nie zwróciłem uwagi i wszedłem.

Usiedliśmy z Waleryanem Piotrowiczem naprzeciwko siebie i widzę, że on siedząc koło biórka, buja się na krześle, patrzy na mnie i milczy. Dość długo grał taką komedyę, jednakże i ja, powoli przyszedłem do siebie: z początku zlekka, potem więcej trochę, aż nareszcie zupełnie spojrzałem mu w oczy. I przyszło mi na-

kawych, niż baczna obserwacya interesowanych. Gdy rzemieślnik, który nie miał nigdzie sposobności przypatrzeć się artystycznym wyrobom swego zawodu, zwiedzi wystawę, pozna jej wzorowe okazy, oddziała ona niewątpliwie na wartość jego pracy. A wtedy korzyść główna osiągnięta.

Ale wystawa otworzy się i zamknie, wpływ jej nie może być ciągłym. I dla tego sądzimy, że Muzeum, po tym szczęśliwym kroku, zrobi drugi, daleko donioślejszy: postara się o stały zbiór wzorów, wskazujących przemysłowi naszemu sposoby i rodzaje zastosowania sztuki do przemysłu. Byłaby to instytucya tem większego znaczenia, że nie posiadamy wcale szkół rzemieślniczych, kształcących smak estetyczny. Działalność na tem polu byłaby nader owocną, bo naród nasz w niemałym stopniu obdarzony jest uzdolnieniami estetycznemi. Nie jest to wcale strona naszej natury słaba i przy starannej uprawie stałaby się bardzo silną. Naród, który wydaje tylu i tak potężnych mistrzów sztuki, nie jest chyba artystycznie upośledzonym. A dopiero rozwój talentów uwolniłby nas w przemyśle od zależności zagranicznej i dokonał tego, czego nie dokonają nigdy skargi i gorzkie żale.

W.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Typy i obrazki krakowskie Michała Bałuckiego. Wilno 1881, nakładem E. Orzeszkowej.

Książka ta jest właściwie albumem literackich fotografij. Widzimy tu cały szereg postaci charakterystycznych, wytworzonych wśród mieszczańskiej atmosfery podwawelskiego grodu, oglądamy zbiór typów i oryginałów, w których autor uwydatnia jakiś ciekawy rys obyczajowy a charakterystyczny, mamy parę w lot schwytanych obrazków z życia „maluczkich." Autor widocznie zna dobrze zakątki swego grodu, niby różne kryjówki i szuflady starego archiwum, z którego umie wyciągać ciekawe, okryte pleśnią szpargały. Ukazuje nam figury pocieszne o pargaminowem obliczu, jak owe *Mamuty*, stary pan ze sługą przyjacielem, niegdyś uczony i zasłużony, na starość zdziwaczały w samotności; jak ów wierny sługa *W starym domu*, co nie chciał opuścić swej dobrodziejki, chociaż miał syna, który mu chciał u siebie dać przytułek i opiekę na stare lata—poczciwy woźnica, co *Niezapomniał do śmierci* usługi wyrządzonej mu przez pokątnego adwokata i woził go zawsze co święto na spacer, albo nareszcie poczciwy właściciel domku, który skąpił sobie grosza, dusił pieniądze, a chociaż nikt niewiedział *Dla kogo zbierał*, przeznaczył ten fundusz na stypendya dla młodzieży szkolnej, chcąc stworzyć legion użytecznych dla kraju „Herkulesów". Postać ta, odrysowana bardzo sympatycznie, wyrasta swą godnością moralną z ram rodzajowego portretu, podobnie jak sympatyczny *Rybak z nad Wisły*, który przez całe życie strzegł wiernie depozytu, powierzonego mu przez nieznajomego i pomimo największej nędzy nie naruszył z niego ani grosika. Spotykamy tu po flamandzku wykończony tak zwany typ pańskiego dziada, trzymającego się *Klamki* magnackiej, pasorzyta, żyjącego z okruchów arystokratycznego stołu, co nie chciał porzucić roli podręcznego sprzętu w salonach i umarł w szpitalu, zapomniany przez tych, którym się wysługiwał. W innym obrazku daje autor opis gromadki starych oryginałów, żyjących nowinkami i partyjką wista, dopóki *Ostatni z pięciu* po śmierci czterech kamratów nie rozpoczął nowego życia jako opiekun i dobrodziej młodego małżeństwa, które mu odpłaciło miłością za poczciwe serce i dobrodziejstwa. Czytając te szkice oraz kilka innych jak *W Boże Ciało*, *Pasya do książek* i *Garkuchnia pod schodami*, doznajemy wrażenia, jakbyśmy się przypatrywali ustawionemu w szafie szeregowi figurek charakterystycznych, przechowanych w zbiorze osobliwości. Daleko żywotniejszymi są szkice, przedstawiające wiernie sceny obyczajowe ze współczesnego życia niższych sfer ludności Krakowa, jak n. p. *Mieszczańskie wesele*, przedstawione wcale żywo i barwnie, albo prosty *Romans wyrobnika*, obrazek cichego szczęścia ludzi zgiętych pod jarzmem pracy, znajdujących w pożyciu rodzinnem uwieńczenie skromnych swych, ale ponętnych marzeń. Ładnym jest także obrazek *Niespodzianka Filipa*, opowiadający małżeństwo zamożnego studenta z młodą sierotą, której całym celem życia była opieka nad chorą sparaliżowaną siostrą. Prawdziwie rozrzewniające dzieje bezinteresownej miłości opowiada autor w najwdzięczniej malowanym szkicu *Dzieci Justysi*, w którym dziwnie pięknym urokiem jaśnieje postać poczciwego kowala, co całe życie poświęcił dla dzieci kobiety, którą kochał, pomimo to że ona pogardziła jego cichem uczuciem dla łotra i awanturnika. Uzacniający wpływ kultury umysłowej wśród niższych klas przedstawił autor w *Chacie za wsią*, gdzie książka, przeczytana przez żonę choremu mężowi, stała się zwiastunem domowego szczęścia niedobranej pary. Ten ostatni obrazek oraz szkic *Dla kogo zbierał?* świecą wśród innych promieniem dodatniej myśli społecznej, inne mają znaczenie i wartość wizerunkową. Autor złożył tu widocznie dorywcze notatki i obserwacye życia mieszczańskiego, które studyuje z wielkiem zamiłowaniem, zużytkował materyał nieprzydatny do większej kompozycyi. Nie są to jednak szkice brulionowe, albo pracownicze notatki, gdyż po większej części mają albo wyrazistość portretów, albo pewne zaokrąglenie artystyczne. Autor jest realistą i obserwatorem odrębnego rodzaju. Widać z każdego szczegółu, z każdego rysu, że chwyta wszystko z natury, ale dostrzega przeważnie rysy sympatyczne, dodatnie, maluje ludzi dobrych, szlachetnych, pomimo dziwactw i słabostek. Treścią psychiczną jego opowiadań jest po większej części poczciwość, przebaczenie uraz, wdzięczność, poświęcenie, ofiarność, przyjaźń albo służalcza wierność, która coprawda w naszych oczach straciła już ten urok, jakim ją otaczali gawędziarze i autorowie obrazków szlacheckich. Optymizm autora płynie z szczerego uczucia demokratycznego, które ciągnęło go ku ludowi i kazało zaglądać w różne tajemnice jego życia. Pod względem artystycznym wyróżniają się delikatniejszem wykończeniem: *Niespodzianka Filipa* i *Dzieci Justysi*, oraz parę innych, chociaż wogóle autor lubi fotografię bez retuszu, i nie przykłada starań do podniesienia barwy rodzajowego kolorytu, rzeźbienia szczegółów, które tego rodzaju utworom nadają piętno prawdziwie artystyczne. Pod tym względem p. Bałuckiemu daleko do artyzmu innych nowelistów naszych, malujących sceny życia ludowego, ale w każdym razie jego obrazki zalecają się schwyconą

---

gle do głowy — palnę mu nauczkę, panie!... Może się skruszy. Zacząłem mu mówić: nie dla zabawy, Waleryanie Piotrowiczu, ani dla prostej pogawędki przybyłem do was, lecz dla sprawy duchowej.

— Słucham — powiada. Grzechu, wielkiego grzechu się pan dopuszcza. To ciekawe!... odpowiada. Ciekawego w grzechu jest mało — odpieram — ale godnego płaczu wiele!... — Zabawne!... — Dziś zabawne, a jutro, mówię, gorzkiem się pokaże!... Zapytam pana, dlaczego obałamucasz tych maluczkich?... Przy tych słowach, przestał się już śmiać nawet! — A czy pan jesteś pewien, że tak jest w istocie?... Nie tylko, panie, pewien — odpowiadam — ale nawet mogę przedstawić najwiarogodniejszych świadków. Proszę tedy natychmiast wynosić się z mego domu, precz! Ja do pana nie chodzę i nie zapraszam pana, byś mnie podsłuchiwał!

— Ananas!.. I to, panie, do osoby duchownej! — przerwał Tierpibiedow. A pan jeszcze dowodów żądasz!...

— Gdy mnie wypędzono, idę, panie, do domu i myślę: za co mnie on obraził? Ja do niego z pociechą, a on mnie za drzwi! Idę tedy i widzę — chłopcy bawią się na drodze. Zaledwie mnie, panie, zobaczyli, krzyknęli chórem: „ksiądz! ksiądz! wypuśćcie psa!"[1]) Zbliżyłem się do jednego z nich: kto ciebie, przyjacielu, nauczył tego? — Nowy nauczyciel, powiada. Do drugiego: kto ciebie tego nauczył? — Nowy nauczyciel! — To brzydko, moje dzieci. — powiadam. Kiedy ja byłem u was nauczycielem, toście wtedy takich szkaradnych słów nie mówili.... A trzeba wiedzieć, że nowego nauczyciela przed dwoma zaledwie tygodniami sprowadził pan Parnaczajew z gubernii!...

W tak krótkim czasie, a już tak uczniowie skorzystali!...

— Więc pan byłeś dawniej nauczycielem?

— Byłem, i zeszłej jesieni, dzięki panu Parnaczajewowi, usunięto mnie.

— I za cóż?

— A ot niby za to, że, zdaniem pana Parnaczajewa, uczyłem dzieci nie istoty rzeczy, ale samych tylko drobnostek. Wyjąłem nawet, na wszelki wypadek, poświadczoną kopię z jego podania do ziemstwa. Jeśli pan chce...

— Hm, tak! Powróćmy naprzód do pańskiego zdarzenia. Z opowiadania widzę, żeś pan nie zupełnie ostrożnie podsłuchiwał pode drzwiami pana Parnaczajewa i że mu się to nie podobało. Gdzież tu właściwie występek?

— Pozwolę sobie pana zapytać: gdyby nie był występnym, to czyżby obawiał się podsłuchiwania? Oto naprzykład, jak teraz ja, pan, kapitan... siedzimy i rozmawiamy, a ponieważ nie mamy żadnych złych zamiarów, to wszystko dla nas jedno, czy nas podsłuchują, czy nie? Owszem, serca nasze czyste — niech więc podsłuchują nas choćby do jutra!... Prosimy bardzo!

— Tak, ale ze stanowiska bezpieczeństwa publicznego fakt jest zamały. Powtarzam, z pańskiego opowiadania widzę tylko, żeś pan podsłuchiwał...

— Nie podsłuchiwałem, ale raczej — jak by to powiedzieć — chciałem dostrzedz tylko rzeczy godnych uwagi...

— No tak, podsłuchiwałeś pan. To właśnie nazywa się podsłuchiwaniem. Wszakżeś pan sam mówił przed chwilą, że kiedy otworzono drzwi, pan „ani rusz"! Więc...

— A podług mnie, nie powinno to posłużyć nietylko do usprawiedliwienia go, ale przeciwnie do powiększenia jego winy. Gdyż, powoli się pan zapytać: dlaczego nagle się tak pospieszył? I dlaczego, gdyby się nie obawiał, miałby iść na palcach? Czyliż stąd nie wynika...

— A ja sądzę, że to zrobił dlatego, żebyś

[1]) Wiejska gra dziecinna. Biorą kwiatek polny i czekają, dopóki z kielicha nie wyjdzie robaczek. Przez ten czas krzyczą: „ksiądz! ksiądz! wypuśćcie psa!"

dobrze prawdą i prostotą, są traktowane ciepło i sympatycznie.

J. K.

PORTUGALIA.

(Listy z podróży A. Pawińskiego, Warszawa 1881.)

W roku ubiegłym Lizbona ugaszczała dwa jednoczesne zjazdy: literacki i antropologiczny. Delegatem na drugi był z Warszawy zasłużony profesor tutejszego uniwersytetu, który obfitą wiązkę listów, z tej podróży zebrał i wydał pod tytułem *Portugalii*. Rzeczywiście autor przeciął w głównej linii cały niemal ten kraj; rzeczywiście przeniósł na papier wszystko, co mógł uchwycić z okien wagonu lub podczas wycieczek z „kongresistami;“ zebranego jednak materyału nie starczyło mu na wypełnienie obrazu i usprawiedliwienie zbyt obszernego tytułu. Nie jest to wcale, mimo 300 stronic, *Portugalia*, ale bardzo pobieżny opis kilku posiedzeń kongresu, kilku wypraw na połów krzemieni, kilku pochodów przez tryumfalne bramy i uczt gościnnych. Między te widoki wplótł p. P. zachwyty nad naturą i uwagi o stanie umysłowym świeżo poznanego narodu; dopełnienia te jednak okazały się albo niedostateczne, albo przeładowały książkę jednostajnemi i blado wyrażonemi uniesieniami.

Najciekawsze w niej karty są właśnie te, za które p. P. najusilniej przeprasza, mianowicie poświęcone obradom zjazdu. To też żałujemy, że obawa znudzenia czytelnika przesunęła szan. autora nieraz po wierzchu przedmiotu i włożyła mu do ręki mniej szczęśliwie używany przezeń turystowski ołówek. Kwestya istnienia człowieka w okresie trzeciorzędowym, której rozwiązanie było naczelnem zadaniem zjazdu, przedstawiona została nadzwyczaj jasno, przystępnie i żywo. Z pewnem nawet zaciekawieniem wyczekujemy walnej bitwy między dwoma obozami, która miała rozstrzygnąć, choć nie rozstrzygnęła, jedno z największych zagadnień naukowych. Zagadnienie to, jak również inne z niem związane, oprawił p. P. w ramy nadzwyczaj ujmujących wyjaśnień, poznajamiających czytelników z przedmiotami od ich zwykłej wiedzy bardzo oddalonymi. O ile przyjemnie uderza nas w historyku ta biegłość przyrodnicza, o tyle zadziwia staranne zasłanianie własnego zdania. Mimo całej pokory, jaką autor czuje wobec Virchowa, Ribeiry lub Quatrefages'a, samem przyjęciem udziału w kongresie przyznał on sobie prawo do głosu w jego obradach. Tymczasem najważniejsze punkta sporne omija, bez najskromniejszego nawet ze swej strony domysłu. To też, gdyby nie drobna wzmianka o zakomunikowaniu zjazdowi rezultatu własnych archeologicznych poszukiwań, p. P. pozostawiłby nas w wątpliwości, czy celem jego podróży był udział w kongresie, czy wrażenia turystyczne.

Ciekawym dla nas szczegółem jest wzmianka autora, że są w Portugalii ludzie, badający język polski; że w galeryach portugalskich spotkać można obrazy naszych artystów (Chełmońskiego). Ofiarowaniem bibliotece *Luzyady* Kamoensa, — w przekładzie Przybylskiego, oraz kilku egzemplarzy ilustrowanych czasopism warszawskich z artykułami o tym poecie, p. P. pozostawił śród tamtejszych uczonych bardzo miłe wspomnienie.

Krótkość czasu, obowiązek uczestniczenia w ceremonialnych uroczystościach i gościnnych przyjęciach nie pozwolił autorowi ani przypatrzyć się wielu stronom życia portugalczyków, ani zbadać ich krytyczniej. Usprawiedliwione też są braki w jego książce, szerszem niż treść imieniem ochrzczonej, oraz panujący w niej ton zachwytowy. Niezależnie od tych braków uszanować winniśmy nową pracę człowieka, który należy do bardzo nielicznego grona profesorów czynnych w literaturze, który niemal corocznie wzbogaca ją jakiemś dziełem. Widzieliśmy już wielu naszych profesorów jeżdżących na różne kongresy, dopiero jednak p. Pawiński przywiózł z tej wycieczki coś do domu.

S.

Z POETYCZNEGO BAZARU.

Kraków, 13 czerwca.

Od paru tygodni dziennik tutejszy *Czas* wzbudzał żywą ciekawość w szerszych kołach publiczności, pisząc wiele i często o mającej się ukazać na scenie komedyi *Rozbitki* Blizińskiego Józefa.

Wabik ten, odzywający się regularnie przed wystawieniem na scenie każdej nowości (interesy dyrektora teatru związane są z kieszenią głównego redaktora) i zawodzący częstokroć łatwowiernych, tym jednak razem, przyznać należy, nie omylił. Bliziński złożył w tym utworze nowe dowody wybitnego swego talentu. Całość zarysowana jest silnie, realnie, pełna oryginalnej obserwacyi typów i charakterów, choć treść sama już stara i język wszędzie piękny i malowniczy, chociaż napełnia leniwą cokolwiek akcyę i rozlewa się w zbyt obszernych dyalogach.

Przebieg osnowy następujący:

Rodzina hr. Czarnoskalskich, jak wiele innych rodzin magnackich u nas, wskutek nierządu, zbytków i lenistwa, traci cały swój majątek. Co począć? boć trudno żyć skromnie, w niedostatku próbować czarnego chleba, którym karmi się proletaryat, wziąć się do pracy! Raczej nie istnieć, niż walać się „w błocie“ gminu, niż nie opromieniać złotem otrzymanych w spadku po przodkach mitr i buław! Ale jak przyjść znów „do majątku?“ naturalnie w sposób *godziwy!* A smutne to dziś nastały czasy dla tej *godziwości!* Ofiarować własnych córek i żon królom — nie można, królów nie ma; burzyć sejmy lub zaprzedawać kraj cały trudno; Targowica się nie wróci! Państwo Czarnoskalscy znajdują się w tem nawet wyjątkowem położeniu, że i marnego testamentu jakiegoś kuzyna sfałszować nie mogą lub też oszukać kogoś. Jedyną dla nich deską ratunku, aby znów dalej módz swobodnie błyszczeć, pogardzać, gnić w lenistwie i siać wokoło siebie zarazę, jest: córkę Gabryelę wydać bogato „choć z mezaliansem“ za mąż, a syna Maurycego ożenić.

Jakoż biorą się pospiesznie do dzieła i wkrótce poprawiają swe interesy. P. Gabryela zrywa stosunek sercowy z ubogim swym kuzynem Władysławem dla karyery, przyrzekając mu za to niejedną rozkoszną chwilę po zamierzonem zamążpójściu, i w tym celu — mimo wstrętu — bierze się do p. Strasza, ekskancelisty, łotra, wyuzdanego knajpowicza, na którego atoli spadł wielki majątek. Syn zaś Maurycy bliski jest już otrzymania ręki panny Poli, córki Dziendzierzyńskiego, bogatego ekskupca, ultra-arystokraty, figury co najmniej śmiesznej, paplącej ciągle po francuzku, pełnej pretensyj do t. z. dobrego tonu.

Tu trzeba dodać, że Maurycy nie dla materyalnych widoków stara się pozyskać względy szlachetnej, pięknej dziewczyny,

---

pan nadal podsłuchiwał umiejętniej. A pan podsłuchujesz, i nic nie słyszysz!

— Za pozwoleniem! Słyszałem dość szalonych wyrazów! Swoboda, emancypacya, protoleryat!... A potem, ten wypadek z dziećmi — czyliż stąd nie wynika...

— Słuchajże pan! Wszak pan sam wiesz doskonale, że jestto gra wiejskich...

— Ale dlaczego właśnie wybrali tę, a nie inną grę, i to właśnie w chwili, kiedy mnie spostrzegli? Pozwoli pan zapytać?

— Trzeba było ich zapytać?

— A więc, zdaniem pana, wszystko to jest możliwe i nie karygodne? A więc i atestacya, że dzieci nie uczyłem istoty rzeczy— także możebna?...

— Jeżeliś pan to uważał za obrazę, to należało zaskarżyć go w tej instancyi, od której zależy mianowanie nauczycieli wiejskich.

— Za pozwoleniem pana. Czyż ja mogę dopominać się o swoje prawa? Czy muszę milczeć!... Ja szanownemu panu tłomaczę, a pan mi jakieś instancye wskazujesz. Ja panu tłomaczę— nie instancye! Wszak one mnie wszystkiego pozbawiły. Naprzód godności nauczycielskiej, a teraz, że tak powiem, mej właściwej godności...

— No, to coś bardzo ciekawego.

— Przeciwnie — wcale nie ciekawe. Pozwól mi pan wyjaśnić. Po tym wypadku, o jakim miałem zaszczyt panu wspomnieć, ochłodliśmy dla siebie wzajemnie — z jego zaś strony czułem pewną nienawiść.... Ja donoszę — i on donosi. Ja do gubernii i on do gubernii. Co on tam mówił, jak się tam tłomaczył na moje zarzuty — nie wiem. Wiem tylko, że zarządzono śledztwo, postawiono mnie pod zarzutem niespokojności i intrygowania — a przed dwoma tygodniami przyszła dymisya! I oto teraz wynika, że jestem zabronionym księdzem. Czyliż i tego za mało w oczach władzy?

To powiedziawszy, ojciec Arseniusz porzucił nawet dawny spokój. Wstał z krzesła i obie ręce wyciągnął naprzód, jak gdyby powołując do zemsty. Kołotow szczypał bródkę i bębnił po stole. Tierpibiedow ponuro cmoktał cybuch; ja także czułem, że ciekawość moja jest w zupełności zadowoloną i że wypadałoby drapnąć. Nareszcie, kapitan pierwszy przerwał milczenie.

— Tak tedy, potrzeba tylko rozboju w dzień... wtedy tylko władza zwróci uwagę — powiedział, nie zwracając się w szczególności do nikogo.

— Tak, czegoś w tym rodzaju— zażartował Kołotow.

— Żeby nas, znaczy się, zaczęto rabować!

— Tak — wogóle — żeby jaki protoleryat zrobili. Uśmiechnąłem się pomimowoli.

— Śmieje się... autor! Śmiej się pan, śmiej. I tak nigdzie nosa nie możemy pokazać! Onegdaj wychodzę do swego ogródka — patrzę, na klombach pasie się całe stado gęsi Wasiutki. Ja go uczciwie zawołałem — pokazałem. „Patrz mówię, łotrze, wszak za to należałoby cię do ciupy zasadzić!“ I jak sądzicie panowie, co mi na to odpowiedział. „Od łotra— słyszę.“ Tak, panie Wasiutku odpowiada. A? Od kogo takie idee do nas przyszły? Ha?...

— Trzeba się było Wasiutki zapytać — kto cię nauczył na „łotra“ odpowiadać „łotrem?“

— A więc panu Parnaczajewowi nic nie będzie?

— Nie wiem... dotąd nic osobliwego nie widzę. Zrozumiałem tylko ze słów panów jedno, że pan Parnaczajew propaguje terminy wypłatę długów, a tego się przecie nie zabrania!

— Nie podobał się, ojczulku, nie podobał się nasz jesiotrzyk panu młodemu isprawnikowi. Ha, bardzo pięknie! Nawet ślicznie!... Niech nas Wasiutki łotrami przezywają! Niech pasą gęsi na naszych ogrodach! Teraz wiem. Gdy do domu powrócę — drzwi na oścież, i wszystkich chamów zwołam! Paście, powiem, podli! Choćby w salonie u mnie, paście! Palcie, rąbcie, drzyjcie! Isprawnik, powiem, pozwolił!

Poli, lecz żywi dla niej istotne uczucie, którem i ona darzy go wzamian, jako człowieka godnego siebie.

Ich też jednych małżeństwo przychodzi do skutku, bo ze Straszem, wskutek zrobionej przez niego burdy przed ślubem i innych nieporozumień, zatargów codziennych, rwie się stanowczo. Osiadłszy więc na mieliźnie p. Gabryela, rzuca się powtórnie w objęcia biednego Władysława, pocieszając się tem, że w braku laku, dobry i opłatek...

Rozbitki z zupełnem powodzeniem grane już u nas były cztery razy z rzędu.

Przyjrzyjmy się kolejno innym płodom tutejszego bazaru poetycznego. Długo tu bawić się nie będziemy.

Poezye Czesława. Zeszyt 2-gi. Jestto o gładkim, wogóle potoczystym wierszu zbiór westchnień, spazmów, lamentacyj, mdłości i innych tym podobnych przypadków na cześć róż, astrów, rumianków, pantofli, podwiązek i nowożytnych Koryn, — słowem rzeczy, na których nikt nie utyje, niczego się nie nauczy, które przebrzmiały już dawno i wyśpiewane zostały stokroć lepiej, bez naśladowania kogokolwiek. Autor powiada, że „mało dba o woń zawiędłych kwiatów, że wśrodku przecudnych poematów nie jeden raz usnął sam.“ Czekajmy, może się przebudzi... w zeszycie trzecim.

Widocznie jest teraz w powietrzu coś miłosnego, bo oto i niejaki p. Tomkowicz urodził nam *Pieśń z pieśni miłości*, której mówiąc „bądź zdrowa,“ zaklina ją na wszystko, „aby nie płakała po nim.“ O płacz niema najmniejszej obawy. Poemat ten, owoc ciężkich dumań i rozpaczy, tysiąca bezsennych nocy, libry papieru, kwarty atramentu i rabowania wszystkich poetów naszych i nie naszych, z czego tylko się dało, jest tego rodzaju, iż możesz go czytać z góry na dół i z dołu do góry, z jednakiem zadowoleniem i korzyścią. Dzienniki krakowskie i lwowskie serdecznie ubawiły się tą *Pieśnią;* najdowcipniej wszakże znalazł się *Przegląd Polski.* Radzi on w końcu p. Tomkowiczowi słowami Mefistofelesa z *Fausta* Göthego: Collegium Logicum. I ciekawym bardzo, po co to krztusić się, wzdychać, kichać, męczyć siebie i ośmieszać, a nudzić innych!

Trzecim z kolei i ostatnim już utworem poetycznym, który wyrósł z wiosenną rzodkiewką, są *Pieśni Litwina*, niewiadomego autora. Z pomiędzy tych ciemnych wogóle wszystkich wierszy, pełnych dębów, lip i sosen prastarych (wszystko tu od A do Z prastare) najlepszym, nawet wcale ładnym jest wiersz na cześć Mickiewicza.

Widzicie więc, że w Krakowie w tym polskim *mateczniku*, do którego, jak w *Tadeuszu* Adama zwierzęta różnorodne, tak tu zjeżdżają poderwani na zdrowiu i fortunie hrabiowie i książęta z całego kraju wyciągać nogi, poeci obecnie rodzą się jak grzyby. Szkoda tylko, że każdy z nich prawie, zamiast śpiewać, skwierczy i kuka, jak — wyrażając się ze Słowackim — poetyczna na Litwie ropucha.

Prawdzic.

Kronika wynalazków.

(Dokończenie).

Wszystkie wielkie wynalazki ostatnich czasów uderzają nas przedewszystkiem swoją prostotą. Przypatrując się im, mimowolnie wydajemy okrzyk: cóżto za rzecz dziwna, że dotychczas nikt tego nie spostrzegł! A jednak w tej właśnie prostocie tkwi genialność, i jeżeli rzucimy okiem na całą historyę odkryć i wynalazków, to przekonamy się, że właściwie tylko proste pomysły utrwaliły się i ludzkość naprzód w cywilizacyi posunęły.

Opisywaliśmy fotofon Bella w jego pierwotnej formie. Był bardzo prosty i łatwy do zbudowania. Dziś jest jeszcze prostszym i, jak się zdaje, dalej prostota nie może być posunięta.

Bell i Tainter wykazali, jak wspomnieliśmy już o tem, że wszystkie prawie ciała wydają dźwięki, skoro tylko na nie padają promienie światła, przerywane albo też zmieniające szybko swe natężenie.

Kawałek blachy cynkowej, albo jakiegokolwiek innego ciała, umieszczony w promieniu słonecznym, przerywanym, dajmy na to 400 razy na sekundę, wydawał ton odpowiadający 400 drgnieniom.

Bell wyraził nadzieję, że zczasem będzie mógł tą prostą drogą, bez pośrednictwa telefonów i elekryczności, przesyłać po promieniu światła ludzką mowę. I oto okazało się, że nadzieja nie była wcale płonną, gdyż dziś przyrząd taki jest zbudowany.

Niemasz nic prostszego nad ten nowy fotofon.

Przyrząd, wysyłający świetlną depeszę jest zwykłem cienkiem, posrebrzanem zwierciadłem, od którego odbite promienie słoneczne lub też lampy elektrycznej przenoszą się do następnej stacyi. Odbita wiązka promieni ma mniej więcej stałe natężenie w zwykłych warunkach. Lecz gdy zaczniemy mówić w pobliżu zwierciadła, wtedy powierzchnia jego wygina się pod działaniem dźwięcznych fal, wychodzących z ust naszych, i promienie przesyłane do następnej stacyi są drżące, odpowiednio do drgań naszej mowy.

Jak widzimy, wysyłacz jest takim samym jak w dawniejszym fotofonie.

Odbieracz jest natomiast daleko prostszym. Składa się z kawałka gazy, napiętej na otworze trąbki akustycznej, którą się do ucha przykłada. Gaza ta jest powleczona sadzą na powierzchni, zwróconej ku przesyłanym ze stacyi pierwszej promieniom. Oto cały przyrząd. Z jednej strony mówi się do zwierciadła, z drugiej, z gazy wychodzi dokładne odtworzenie tej mowy.

Próby wykazały, że wszystkie prawie ciała posiadają takie fotofoniczne własności iże można je zmusić do mówienia, umieszczając w odpowiednich warunkach. Najlepszymi są ciała w stanie wielkiego rozdrobnienia, gąbczaste, które, jak sądzę, zawierają w porach wielką ilość powietrza.

Zapomocą nowego fotofonu można było rozmawiać na odległość 40 metrów.

Zadziwiającem jest spotkanie się jednoczesne dwóch wynalazców na jednem i tem samem polu. Znany francuski uczony p. Mercadier, który już oddawna zajmuje się opracowaniem naukowem zjawisk t. z. radiofonii, wynalazł niezależnie od Bella fotofon, działający zupełnie tak samo i w takichże warunkach. Widocznie odkrycie zawieszonem już było w powietrzu.

Teraz brakuje w tym szeregu tylko jednej rzeczy: wynalezienia przyrządu, zapomocą którego dokładnie możnaby było *widzieć* po drucie z odległości. O próbach w tej mierze czynionych mówiliśmy poprzednio. Po powodzeniach ostatnich możemy mieć nadzieję, że to zadanie zostanie także z powodzeniem rozwiązane. Obok nowego fotofonu, przedstawił jednocześnie Bell przyrząd oryginalnego pomysłu, który nazwał *spektrofonem*, a o którym pomówimy w przyszłości, gdy nadejdą bliższe szczegóły. Dziś tylko w ogólnym zarysie podajemy jego przeznaczenie. Wiadomo, że zapomocą spektroskopu możemy poznać natu-

---

— Hm... To ładnie!... Ale kto wie, czy kapitan tak powiesz?

— Oto krzyż!... Niech się z tego miejsca nie ruszę, jeżeli nie powiem!...

— Powiedz pan, powiedz! Ja się nie obrażę. No, ale zdaje się, konferencya skończona. O panu Parnaczajewie żadnych już wiadomości dać nie możecie, panowie.

— Jak powiedziałem wyżej, tutejszy gospodarz wyraził gotowość świadczenia — odezwał się ojciec Arseniusz: — chociaż, sądzę, że i jego świadectwo nie na wiele się przyda.

— Owszem, przeciwnie! Niech świadczy! Tylko winienem panów uprzedzić, że znam niektóre epizody z życia tutejszego gospodarza...

— Epizody, szanowny panie, znajdą się w życiu każdego człowieka... Niejeden ma ich nawet więcej... Gadać się tylko nie chce, ale gdyby tak narysować biografię każdego z tutejszych obywateli — nie wielu by to smakowało!

— Jakież to są epizody, dotyczące tutejszego gospodarza, — zapytałem ojca Arseniusza.

— Głupstwo. Pogłoski tylko. Mówią, jakoby miał romans z żoną tutejszego kupca, Mosiagina i że jakoby dali mu na sen, a potem zagrabili jego kapitał... Kramu mieli z tego powodu coś przez całe pół roku...

— Mosiagin? Czy to nie jajczarz? — przypomniałem sobie.

— Ten sam. Jajka skupował w okolicy i wyprawiał do Petersburga.

— To on żyje?

— Jakże, i dotąd tutaj. I jego cudzołożna żona razem z nim! Tylko nie ma teraz kapitałów, lecz żyje ot, aby, aby. A tymczasem Pantelej Jegorow otworzył własny zakład.

— I jaki zakład! W Moskwie by się nie powstydził. Za jedną maszynę ośmset zapłacił — wtrącił Tierpibiedow.

— Mądre chłopisko. A nawet jest teraz chrześcianinem.

— Eh, ojczulku, czy chrześcianinem, to jeszcze na dwoje babka wróżyła. Mędrek— tak! Z szelmą — szelma — ja to nawet przy nim powtórzę, — zarekomendował Tierpibiedow.

— Za pozwoleniem ojca, — znowu zacząłem — mówiłeś pan przed chwilą, że Mosiagin teraz też tu mieszka? Cóż on robi, tak tylko mieszka?

— A cóż ma robić?

— Wszak pan powiada, że Pantelej Jegorow zbałamucił mu żonę, ze mu zagrabił pieniądze...

— To jest, jakby to panu powiedzieć? Jedni mówią, że zagrabił, drudzy — że Mosiagin sam zdurniał...

Przepadł tedy. A co najważniejsze, że Pantelej Jegorow zyskał teraz wielce na opinii, — nic dziwnego, że ma przewagę nad Mosiaginem.

— I na tem się skończyło?

— U nas, proszę pana, takie rzeczy często bywają. Patrzysz się na człowieka: zdaje się rośnie... no, tak rośnie, tak rośnie!... I szerzej i wyżej i piękniej i lepiej, a pieniędzy, zdaje się, ma bezdeń. Naraz — klap — przepada! Stopi się jak świeca w jednej chwili! Albo się sam zapije, albo mu żona zdiableje... naturalnie więcej przez własną głupotę. I zjeżdża na dół coraz bardziej, coraz gorzej!

— I dobrze mu tak, bo dureń! Trzeba uczyć durniów! — wypalił Tierpibiedow.

— U nas, pod względem durniów, bardzo nawet licho. Jak gdyby uważał się za niegodnych do zarządzania własną głupotą zrujnuje się, albo mu ktokolwiek się przysłuży i zrabuje...

— Dureń — to po tutejszemu znaczy: wyrodek — objaśnił Kołotow.

— Więc pan rozkaże zawołać Panteleja Jegorowa?

— Zawołaj pan, zawołaj, owszem, niech świadczy!

(Dokończenie nastąpi).

rę chemiczną ciał rozgrzanych do takiego stopnia, iż światło z siebie wydają. Na tej drodze poznano skład chemiczny ciał, rozsianych na sklepieniu niebios. Spektrofon Bella daje możność poznania składu ciał, słuchając dźwięków, jakie wydają widma ich w czasie świecenia. Jest to pomysł nowy i śmiały, do którego kiedyś wrócimy.

Nie potrzebujemy zbyt oddalać się od przedmiotu tylko co poruszonego, żeby się zająć różnymi pomysłami tak zwanych *telektroskopów*. Najśmielsze pomysły wynalazców zostawały w ostatnich latach urzeczywistnione. Bell zbudował telefon, przenoszący po drucie telegraficznym z błyskawiczną szybkością mowę ludzką na ogromne odległości. Edison kazał w swym fonografie powtarzać blaszce metalowej dźwięki ludzkiej mowy. Bell i Tainter znaleźli sposób przesyłania dźwięków po promieniu światła. Dlaczegóż nie miałby powstać wynalazca, który zbuduje przyrząd taki, że po drucie przesyłać będzie można obrazy i na stacyi odległej widzieć rzeczy, dziejące się o kilka lub kilkadziesiąt mil odległości, nawskróś przez góry i lasy? Że pomysł taki nie jest czczem marzeniem, dowodzi znaczna ilość badaczów i wynalazców, którzy się do pracy w tym kierunku rzucili. Miedzy innymi, sam twórca telefonu, Bell, od kilku lat pracuje nad zbudowaniem telektroskopu, — taką bowiem barbarzyńsko brzmiącą nazwę dano temu przyrządowi, który w formie ostatecznej dopiero ma być wynalezionym. Oprócz Bella, Böhm w Austryi, Johnston w Ameryce robili liczne próby, których wynikiem jest ten fakt, że zbudowanie telektroskopu nie jest wcale niemożliwem.

Wszystkie dotychczas obyślane przyrządy są w ogólnym zarysie bardzo do siebie podobne. Opierają się na naturze *selenu*, pierwiastku, który w swoich własnościach wielce jest podobnym do siarki zwyczajnej. Ma jednak tę odrębność, że bardzo jest czułym na działanie światła. Jeśli weźmiemy kawałek selenu odpowiednio przygotowanego i zechcemy przepuszczać przezeń prąd elektryczny, to się okaże, że jest bardzo złym przewodnikiem, gdy te doświadczenia robić będziemy w ciemności. Gdy jednak na selen zacznie padać silne światło, to przewodnictwo jego staje się lepszem i w ogóle od siły padającego światła zależy stopień przewodnictwa. Własność tę zużytkował Bell w fotofonie.

Ażeby ją zastosować w telektroskopie, używano kombinacyi, którą w zarysie opiszemy. I tu, jak w fotofonie, różną jest budowa wysyłacza i odbieracza.

Wysyłacz jest tablicą, pokratkowaną jak szachownica, w drobne kratki, z kawałków odosobionych od siebie selenu. Do każdej kostki z selenu idzie drut z bateryi i kończy się przy powierzchni. Z drugiej strony drut wychodzi i przebiega aż do stacyi odbierającej. Prąd z bateryi musi przejść przez kostkę selenową, zanim się dostanie do drutu, wiodącego ku odbieraczowi. Ile kostek, tyle jest drutów łączących obie stacye. Widzimy już stąd, jak dotychczasowe pomysły są skomplikowane.

Przedstawmy sobie teraz działanie wysyłacza. Przypuśćmy, że na szachownicę z selenowych kostek pada jakiś obraz wyraźnie zarysowany, zajmujący przestrzeń kilkunastu kratek. Przypuśćmy, że zapomocą soczewki zebraliśmy na powierzchni wysyłacza obraz krzyża. Kostki selenu, na które ten obraz upadnie, staną się pod działaniem światła lepszemi przewodnikami elektryczności i przepuszczą po swoich drutach prądy, które podążą ku stacyi odbierającej.

Tam chodzi o odtworzenie widoczne kształtu krzyża. Otóż dotychczas nie zbudowano odbieracza, któryby te kształty oddawał w sposób wyraźny i podobny. Otrzymano tylko coś odlegle pokrewnego. Przyrząd odbierający Böhma składał się z szachownicy, podobnej co do rozmiarów i kształtów do tablicy wysyłacza, jej kwadraty jednak nie były selenowe, lecz stanowiły rodzaj klapek na zawiasach, z których każda się otwierała, skoro tylko do niej przybiegł po drucie odpowiednim prąd elektryczny. Tylko te druty przyprowadzały prądy, które wychodziły z kostek selenowych wysyłacza, na które padało światło, a ponieważ w dawnym wypadku kostki te leżały w postaci krzyża, więc i szeregi otworzonych klapek przyjęły taką postać.

Oczywiście podobieństwo obrazów tą drogą otrzymane, może być tylko bardzo dalekiem. Nie można mieć ani odtworzenia krzywych linij, ani ostrych konturów, nie mówiąc już o barwach. Otrzymuje się obrazy takie, jakiebyśmy ułożyli sami, gdybyśmy zechcieli z kostek równych rozmiarów kwadratowych, białych i czarnych, ułożyć rysunek widzianych przez nas przedmiotów.

Trzeba jednak pamiętać, że to są pierwsze kroki i że telefon w pierwotnym swym kształcie nie o wiele lepiej wyglądał. Za lat parę będziemy już może w stanie nie tylko słyszeć głos odległej o mil kilka osoby, ale i widzieć jej twarz i ruchy. Wynalazcy idą pośpiesznym krokiem!

Gdyby Niepce de St. Victor i Daguerre, twórcy sztuki fotograficznej, znajdowali się jeszcze przy życiu, należeliby do najszczęśliwszych ludzi tego świata. Dzieło ich płodnego umysłu dojrzało, rozłosło się potężnie i tak rozpowszechniło, że nie ma zakątka najciemniejszego na świecie, gdzieby nie posługiwano się ich wynalazkiem. Stał się on potrzebą codziennego życia. Dziś jeszcze większe otwiera się dla fotografii pole zostosowań. Wyświadcza nauce usługi tak doniosłe, że w wielu razach nie wiedzianoby nawet, jak się bez niej obejść można. Dość jest zwiedzić obserwatoryum astronomii fizycznej w Meudon pod Paryżem, aby się o tem przekonać; dość zobaczyć przepyszne fotografie tarczy słonecznej, wyskoków w czasie zaćmienia księżyca, mgławic, tak delikatne, tak wiernie oddające najdrobniejsze zarysy i odcienia, aby mieć wyobrażenie o wielkich rezultatach, do których zczasem na tem polu dojdziemy.

Czyż wynalazcy mogliby mieć większą nagrodę nad tę, że myśl ich się przyjęła w życiu powszednieni, że nauka takie z niej ciągnie korzyści i że właśnie we Francyi; w ich rodzinnym kraju, dosięgła najwyższego rozwoju?

Sztuka fotograficzna daje badaczom sposób najwierniejszego odtwarzania zjawisk w przyrodzie. Promienie światła są rysownikami wierniejszymi, niż wszelka ręka ludzka. W ścisłych metodach nauki, ta wierność w zdejmowaniu obrazów jest właśnie powodem tak obszernych zastosowań.

W ciągu ubiegłego miesiąca, p. Janssen, dyrektor obserwatoryum w Meudon, przedstawił Akademii Nauk nowy przyrząd do mierzenia siły promieniowania różnych ciał, wydających światło. Przyrządowi temu nadał miano *fotometru fotograficznego*.

Jak wiadomo, żeby znaleźć siłę światła jakiegokolwiek ciała promieniującego, naprzykład płomienia gazowego, albo też gwiazdy błyszczącej na niebie, trzeba je porównać z innem jakiemkolwiek źródłem światła, które musi świecić jednocześnie. Żeby znaleźć np. jaki jest stosunek światła lampy elektrycznej, trzeba je porównać ze światłem lampy Carcela. Istnieje już wiele fotometrów, wykonywających to zadanie.

Fotografia oddaje w tym względzie daleko cenniejsze usługi. Na czułej płytce, umieszczonej w aparacie fotograficznym, światło pozostawia ślad stały i widoczny. Im większa jest jego energia, tem większe działanie na płytkę, i jeżeli tylko zdejmiemy, zapomocą przyrządu Janssena, fotografie z różnych ciał świecących, w różnych czasach, byleby tylko trwanie działania fotograficznego było dokładnie zmierzonem, to możemy potem z porównania otrzymanych obrazów wnioskować o sile promieniującej ciał fotografowanych.

Światło w fotografii działa w ten sposób, że na czułej płytce robi osad metaliczny, który jest oczywiście tem bardziej nieprzejrzystym, im światło było więcej natężonem. To daje nam miarę do porównania.

Nie możemy tutaj wchodzić w bliższe szczegóły fotometru Janssena, ani podawać warunków, w jakich spostrzeżenia odbywać się mają; odsyłamy bliżej interesujących się tą rzeczą do sprawozdań Akademii (Nr. 14 str. 821).

Nie ulega wątpliwości, że przyrząd tak znakomicie obmyślany, znajdując się w rękach tak zręcznego obserwatora jak p. Janssen, doprowadzi do odkryć ważnych i ciekawych.

Wiosna roku bieżącego odznaczyła się wielką ilością pożarów, które w różnych stronach świata, straszne sprowadziły spustoszenia. Spaliło się parę teatrów, kilka wielkich magazynów, fabryk, nie licząc już większych pożarów domowych. Okoliczność ta zwróciła ponownie uwagę ogólną na środki zabezpieczające przeciw pożarom. A jest tu wiele jeszcze do zrobienia i dla wynalazców otwarte szerokie pole do pracy.

I tak naprzykład, nie posiadamy dotychczas dobrych automatycznych ostrzegaczy przed ogniem. Jest wiele przyrządów, w tym celu zbudowanych, mniej lub więcej skomplikowanych, lecz po większej części niepraktycznych i niedostatecznych.

Wszystkie prawie polegają na tem, że gdy w danym pokoju, gdzie jest aparat, temperatura się podniesie wyżej nad stan normalny, dzwonki elektryczne zaczynają dzwonić, bo w przyrządzie automatycznie następuje ich połączenie z obwodem elektrycznym.

Niedawno temu Dupré zbudował nowy ostrzegacz, bardzo prosty, oparty właśnie na takiej zasadzie. Na tabliczce przymocowane są dwa pręty, połączone z obwodem elektrycznym. Są one trzymane w oddaleniu od siebie zapomocą kawałka wosku, stearyny lub innego ciała łatwo topniejącego przy podniesieniu temperatury. Jeden z prętów jest zaopatrzony w ciężar, tak że gdy ciało, trzymające je w oddaleniu, stopnieje, pręty się stykają i prąd przebiega do dzwonków ostrzegających.

Pan Tissandier, w ostatnim numerze nowego czasopisma *Eléctricien* opisuje próby, które robił z tym przyrządem i przychodzi do wniosków następujących: „Doświadczenia nasze nie potępiają stanowczo pomysłu p. Dupré, lecz dają dowód, że ostrzegacze mogą być zastosowane tylko w szczególnych wypadkach; trzeba by zwiększyć znacznie ilość przyrządów, na które tylko do pewnego stopnia rachować można.“

Nie są to słowa zupełnego uznania i istotnie, jeśli zestawimy wszystko, co dotychczas w tej mierze zrobiono, przyjdziemy do przekonania, że niema jeszcze dobrego rozwiązania.

Największe niebezpieczeństwo w czasie pożaru stanowią większe masy płynów lotnych i palnych, jak nafty, benzyny, etc., które łatwo sprowadzić mogą wybuchy i w razie zajęcia się ogniem, są prawie niemożliwe do ugaszenia. Z tego też powodu w miastach nie wolno przechowywać na składzie większych ilości takich płynów. Lecz to z drugiej strony ujemnie wpływa na handel i sprowadza dla kupców kłopoty, wynikające z ciągłej potrzeby zaopatrywania się w nowe zapasy. To też wynalazcy pracują, aby tę niedogodność usunąć i uczynić przechowywanie bezpiecznem. Niedawno temu, p. Judycki, architekt z Moskwy patentował swój rezerwoar, który ma dawać zupełne bezpieczeństwo. Budowa jego bardzo prosta i praktyczna. Sam zbiornik

główny, zrobiony z blachy żelaznej, znajduje się pod ziemią, na środku podwórza i komunikuje się tylko zapomocą cienkich rur ze sklepem, gdzie następuje drobna wyprzedaż. Pompa powietrzna naciskająca służy do pędzenia płynów do góry; na przypadek zaś pożaru urządzone są ekstynktory, działające automatycznie, które pożar gaszą w samym zarodku.

Inny wynalazca, p. Notbeck, znalazł sposób uczynienia zwykłej nafty używanej do oświetlenia, zupełnie bezpieczną do przewożenia. Posiada on sekret zamiany płynnej nafty, na ciało wpólstałe, niewybuchające i które się łatwo przewozić daje. Skoro się próbom przyjrzymy bliżej, zdamy z nich sprawę.

B. A.

KORESPONDENCYA PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

Trudnym jest dziś niezmiernie obowiązek waszego kronikarza: dzień każdy przynosi z sobą nowiny, tak różnolite, tak mało wspólnego, zda się, mające z sobą, że nie podobna prawie nietylko ująć ich w jedną całość, ale nawet spisać. Pierwszy to raz może, od bardzo dawnych czasów, społeczeństwo i pisma rosyjskie żegnają usuwających się obecnie mężów stanu a mianowicie: Hr. Loris-Melikowa, dwóch pp. Abaza, hr. Milutina, wyrazami prawdziwej wdzięczności. Każdy z nich na swem stanowisku wysłużył sobie w oczach rosyan nie mało praw do tej wdzięczności. Usposobienie nadzwyczaj przychylne dla pierwszego szczególniej wyraziło się też stosunkowo najwidoczniej. Świadczą o tem dyplomy na obywatelstwo honorowe, ofiarowane hrabiemu przez niektóre miasta, artykuły dziennikarskie, najwymowniej zaś może gawędy przy kominku domowym. Rozmowy te mogłyby służyć zczasem za najważniejszy i zpewnością najwiarogodniejszy materyał do historyi chwili obecnej; szkoda tylko, że żaden fonograf ich nie zanotuje ściśle i nie wyśpiewa kronikarzowi przyszłości. Przyszły dziejopis naszych czasów byłby zapewne zdziwiony na dobre, gdyby się dowiedział tą drogą, że główną zasługą zachwalonego męża stanu było ulżenie społeczeństwu brzemienia istniejących praw. Hr. Milutin, b. minister wojny, dłuższą ma przeszłość po za sobą, przeszłość oznaczoną ściśle określonemi reformami i ustawami, zmieniającemi do gruntu organizacyę wojskową nietylko faktycznie, ale i teoretycznie. Nie ulakł się on złych przepowiedni o rozprzężeniu wojska, nie zwracał uwagi na zarzuty osobiste; to też udało mu się ostatecznie zmniejszyć lata służby wojskowej, znieść kary cielesne (chociaż nadużycia zdarzają się i teraz), wprowadzić służbę ogólną, bez różnicy stanów. Wiele planów byłego ministra nie mogło dotąd urzeczywistnić się, jaką zaś drogą pójdzie obecny jego następca i jakie siły kryje w sobie ku temu, nikt dotychczas nie wie.

Działalność trzech nowych ministrów a mianowicie hr. Ignatiewa—spraw wewnętrznych, p. Ostrowskiego — dóbr państwa i zastępującego ministra finansów, p. Bunge — będzie się mogła uwydatnić podczas opracowywania i wprowadzenia w życie wniosku, podanego do Rady Państwa o wykupie obowiązkowym ziem włościańskich, a także projektu zmniejszenia sum wykupowych. Trzej wspomniani ministrowie składają osobną radę dla tem gruntowniejszego rozpatrzenia dwóch ważnych wniosków, których ostateczne sformułowanie powinno być skończone przed 15 września roku bieżącego.

Zmniejszenie sum wykupowych tem większe będzie miało znaczenie dla gospodarstwa społecznego wogóle, dla klas zaś niższych wszczególności, im mniejszą się okaże projektowana podwyżka akcyzy od wódki, w razie zaś przeciwnym, zmniejszenie wykupów na kilka milionów utonie w kilkunastu milionach podatku wódczanego. Doświadczenie zaś lat przeszłych dowiodło najwymowniej, że podwyższenie akcyzy nigdy nie zmniejszało zapotrzebowań wódki; w ostatecznym więc rezultacie włościaninowi grożą w przyszłości większe niż dzisiaj wydatki, w razie nawet najlepszego urzeczywistnienia projektu co do zmniejszenia sum wykupowych. Trudno przypuszczać, aby projekty te, wzięte oddzielnie, mogły wywrzeć wpływ stanowczy na uspokojenie społeczeństwa, przeżywającego dziś jeden z najbardziej stanowczych okresów swego historycznego rozwoju. Jak to zwykle bywa podczas poruszeń ludowych, dają się już słyszeć legendy cudowne, układane zresztą przez urzędników, i korespondentów gazet, natchnionych łatwo zrozumiałemi widzeniami.

Tak np. Korospondent *Now. Wremeni* słyszał na południu kacapów w łapciach, grających artystycznie na zrabowanym fortepianie walce szopenowskie, później zaś rąbiących ten sam fortepian wandalskimi toporami; inni znowu widzieli żebraków w mgnieniu oka *à la Rocambole*, przemieniających się w generałów ze złotemi szlifami, czytających proklamacye, wzywające do rzezi żydów i nie żydów.

Niektóre fakty świadczą, że żydzi po smutnych doświadczeniach zaczynają się zastanawiać poważnie nad swem położeniem. Wpływowi izraelici odescy, jak donosi *Noworossyjskij Telegraf* zamierzają podać prośbę do władz odpowiednich o bezwarunkowe zabronienie żydom nietylko utrzymywania szynków, lecz nawet wogólności handlu trunkami. Ziemstwo powiatowe chersońskie i magistrat miasta Mikołajewa oświadczyły się także przeciwko utrzymywaniu szynków przez żydów. Naturalnie środek podobny w takim razie tylko mógłby mieć znaczenie zarówno dla żydów jak dla całego społeczeństwa, gdyby dawniejsi arendarze starali się zwrócić swą działalność na inną, produkcyjniejszą drogę.

Zaburzenia na południu stały się przyczyną wędrówki mieszkańców miejscowych w rozmaite strony; w Petersburgu zaś, gdzie przenosiny letnie, stanowią zwykle kwestyą wielkiej wagi, stały się one dziś smutniejsze niż zwykle. Nigdy jeszcze nie wydano tyle pasportów zagranicznych; w Finlandyi każdy kącik zajęli petersburszczanie, za to Peterhof, ulubiona miejscowość letnia, dziś nie widzi zwykłych gości. Ulice co raz to pustsze, na Newskim Prospekcie ruch też co raz leniwszy. Moskwa za to zgromadziła w swych murach licznych gości, dla powitania i przyjęcia dostojnego jubilata, znakomitego, uczonego chirurga, Pirogowa. Rodacy jego zresztą czczą w nim obecnie nietylko pięćdziesięcioletniego pracownika na polu nauki, ale też wysokiego urzędnika, (kuratora okręgu naukowego kijowskiego), starającego się o utrzymanie ścisłego związku z życiem, o usunięcie zapory kancelaryjnej i wlanie ducha ożywczego w powierzone pieczy jego szkoły.

Tendencye te naturalnie nie mogły się podobać hr. Tołstojowi, ówczesnemu ministrowi oświaty. Oskarżył on dzisiejszego jubilata, który też wciągu ubiegłych lat piętnastu, usunięty od spraw publicznych, mieszkał w zaciszu wiejskiem.

R.

W SPRAWIE HIPOTEK WŁOŚCIAŃSKICH.

I.

(Nic nowego).

W Numerze 23 *Prawdy* szanowny p. Nowakowski wystąpił przeciwko obecnej potrzebie urządzenia hipoteki włościańskiej na tej zasadzie, że hipoteka ta od 16-tu lat istnieje. Postaram się wykazać pokrótce, że uwagi p. N. rzeczy przezemnie rozpoczętej szkodzić nie powinny.

1-mo. Pan N. dowodzi, że już dzisiaj dla włościan istnieje hipoteka, ja zaś dowodzę braku hipoteki *włościańskiej*. Tu leży nieporozumienie. Tak samo jak hipoteka kupca nie nosi miana kupieckiej, ani przemysłowca przemysłowej, podobnie hipoteka włościanina jeszcze włościańską nie jest. Z potrzeb włościan powinny wypłynąć w hipotece dla nich urządzonej pewne odrębności, które dopiero uprawnią specyalną dla tej hipoteki nazwę. Zatem mówimy o rzeczach z pozoru podobnych, a w gruncie zgoła różnych, co jest naturalnem następstwem przyznanego faktu, że pan N. artykułu mego nie czytał.

2-do. Pan N. powiada, że według art. 33 przepisów o wyd. list. likw. z d. 16 sierpnia 1865 roku urządzenie hipotek jest włościanom dozwolone. Śmiem twierdzić stanowczo, że p. N. jest w błędzie. W artykule powołanym o żadnem dozwoleniu niema mowy, a nakazane jest zaprowadzenie z urzędu hipotek dla tych tylko włościan, którzy już przed r. 1864 na dobrach głównych byli hipotekowani. Szło więc tutaj nie o urządzenie hipoteki nowej, ale o przeniesienie istniejącej.

3-tio. Każdemu wiadomo, że osad pańszczyźnianych 90 morgowych chyba w kraju niebyło. Powstały tylko przez wypuszczenie na czynsz wieczysty tak wielkie osady kolonialne. Skoro znowu z pomiędzy osad jedynie kolonialne hipotekowane bywały na dobrach głównych przed r. 1864, a więc zarówno art. 33 przepisów z r. 1865, jak rozporządzenie z d. 3 lipca 1871 roku ściągają się do tej samej kategoryi osad już od chwili ich powstania hipotekowanych. Idzie stąd, że skoro i pierwej te osady z dobrodziejstwa hipoteki korzystały, nic więc im nowe postanowienia praw nie przyczyniły, ani też *ipso facto* hipoteki włościańskiej nie uprawniły.

4-to. Jeżeli już obecnie urządzają się dla jakiejś cząsteczki włościan hipoteki powiatowe, to następuje owo urządzanie bez żadnego odnośnego rozporządzenia. Stąd wynika, że ta sama osada, ta sama *rzecz*, jest hipotekowana raz w księdze dóbr głównych, od których odpadła, gdzie jest zapisana w ogólnej przestrzeni gruntów odpadłych osad, a teraz hipotekowaną będzie drugi raz przy sądzie pokoju, bez właściwego skąd należy odkreślenia. Idzie stąd dalej, że ponieważ z mocy punktu II Najwyższego rozkazu z d. 12 grudnia 1865 r. Tabela likwidacyjna stanowić ma dla włościan jedyny tytuł nadawczy, przeciw któremu spór się nie dopuszcza, a z mocy art. 56 IV Ukazu o włościanach z r. 1864 na całą gromadę sołtys ma jeden tylko egzemplarz tabeli, drugi zaś z mocy Najwyższego rozkazu z d. 17 marca 1874 wydaje się wyłącznie tylko w razie zagubienia lub zniszczenia pierwszego, więc też włościanin z tabelą do regulacyi hipotecznej przyjść nie może, a przyjdzie i rzeczywiście przychodzi ze świadectwem wójta na tabeli opartem. Czy takie świadectwo, przez najniższą a często niepiśmienną władzę administracyjną wydane, może zastąpić tytuł prawny do rzeczy tak poważnej jak regulacya hipoteczna wymagany i to wbrew duchowi i brzmieniu Oddziału I Działu I pr. hip. z r. 1818, tudzież art. 10 prawa hip. z r. 1825, każdy łatwo osądzi.

5-to. To też art. 557 postanowień Komitetu Urządzającego źródło takiego stanu rzeczy wyjaśnia. Senator Arcimowicz, poparty przez ówczesnego dyrektora K. R. S. Wosińskiego, wystąpił w r. 1866 do Komitetu z projektem, aby na podstawie Tabel Likwidacyjnych wydano każdemu włościaninowi formalny tytuł nadawczy, z wyraźnem zaznaczeniem, że ma on posłużyć do pierwiastkowej regulacyi hipotecznej. Komitet odrzucił projekt jako przedwczesny. Odłożono go do dalszego czasu, który dotąd nie nastąpił.

6-to. Że nie nastąpił, niech posłuży za dowód, że jeden z prezesów Pokojowego Zjazdu kilkakrotnie wzywany był w tych czasach przez ministeryum sprawiedliwości o złożenie projektu hipoteki włościańskiej. Dopiero projektu!

7-mo. Zdanie, że do hipoteki dojdą włościanie przez oświatę, sprzeczne jest ze zdaniem twórców doskonałej ustawy hipotecznej z r. 1818. Mając do czynienia z najoświeceńszą klasą społeczeństwa, nie wahali się oni jednak zamieścić w art. 145 i następnych wyraźnego pod tym względem przymusu. Ileż to czasu potrzeba, aby włościanie stanęli wyżej od najoświeceńszych klas z r. 1818, tak aby już dla nich można było z przymusu pofolgować. Prawo z r. 1825, wyłączające przymus z urzędu, a zaprowadzające go na żądanie osób trzecich, utworzone jest tylko dla własności małej i to małej nietyle z uwagi na rozmiar rzeczy posiadanej, ile ze względu na stosunek do ogólnej wartości, hipotekowanej poprzednio na zasadzie prawa z r. 1818; tam gdzie idzie o połowę areału krajowego, prawo z r. 1818, na zasadzie art. 23 pr. z r. 1825 wrócić winno do zupełnej swojej mocy, a z niem i cały systemat wymagający przymusu z urzędu.

8-mo. Za przeprowadzenie praktyczne powszechnie znanego prawa, dozwalającego sądom gminnym przyjmować prośby w języku polskim pisane, wdzięczność należy się p. Jackowskiemu, który nie żałował zabiegów, aby zupełnie bezinteresownie rzecz tę wywalczyć. Nie zmniejsza to zasługi p. Nowakowskiego, ale dowodzi, że postęp uzyskuje się przez wspólną pracę ludzi teoryi i ludzi czynu, nie zaś przez jałowe ich wzajemne nad sobą ubolewanie.

9-to. Zasadniczej myśli p. Nowakowskiego, że potrzebie uregulowania hipotek oddawna stało się zadość, kategorycznie przeczę, o ile pod wyrażeniem potrzeby będziemy rozumieli rzeczywiste *potrzeby* włościan a nie abstrakcyjną potrzebę hipoteki, to jest, jeżeli hipotekę weźmiemy nie za cel, lecz za środek. Z tych potrzeb najważniejszym jest obecnie tani kredyt amortyzacyjny i to w czasie jak najbliższym, bo dotykając się spraw włościańskich z bliska, widzę, ilu jest takich, którym już dzisiaj grozi niedalekie wyzucie z ojcowizny.

W tym celu projektuję hipoteki włościańskie urządzać nie na pojedyńcze osady, ale na całe wsie w jednej księdze wieczystej je uregulować, w ścisłem zastosowaniu się do art. 15 prawa z r. 1818 i artykułu 101 Instrukcyi K. R. S. z r. 1819, z oddzielnym w tej księdze dla każdego włościanina wykazem. Na taką wieś, jako osobę moralną, Towarzystwo Kredytowe, Bank włościański i t. p. może wydać zbiorową pożyczkę, której repartycya zależeć będzie od uchwały gromadzkiej. Aby zaś rzecz ta mogła przyjść do skutku prędko i terminowo pragnę zastosowania art. 145 i 149 prawa z r. 1818 w tym duchu, aby ustalić termin, w jakim władze włościańskie obowiązane będą przystąpić do regulacyi hipotecznej w zastępstwie za włościan, faktycznie pod opieką tych władz pozostających. Pod względem artykułu 146 pragnę tej tylko zmiany, aby wsi korzystających ze służebności bynajmniej nie regulować, a to dlatego, aby w sposób przysługujący prawodawcy wyrównać siły dwóch stron przystępujących do układu w sprawie usunięcia służebności tak dla kraju szkodliwych. Przy każdej służebności, prócz użytkowania, jest jeszcze przewyżka praw, z których w rzeczywistości po nad potrzebę użytkownika właściciel jest wyzuwany dla wieczystego zapewnienia służebności. Ta przewyżka jest bronią w ręku włościan, która przy układach daje im przewagę. Dopiero wstrzymanie im dobrodziejstw hipoteki, które oni wprędce zrozumieją, zmniejszy tę ich przewagę do właściwej normy, i niezadługo, drogą najczystszej słuszności, doprowadzi kraj do gospodarczego uporządkowania.

Józef Jeziorański.

II.

Szanowny Redaktorze! W numerze 23 *Prawdy* umieszczoną została korespondencya, w której autor znamienitego dzieła *O ustawie postępowania sąd. cyw. z roku 1864*, pan Władysław Nowakowski, na podstawie artykułu 33 przepisów o wydaniu listów likwidacyjnych w związku z art. 11 prawa o przywilejach i hipotekach z r. 1825, z art. 2 przepisów o wydaniu pożyczek Tow. Kred. Ziemskiego, oraz innemi postanowieniami, dochodzi do wniosków: 1o „wszyscy bez wyjątku właściciele osad włościańskich mają prawo uregulować hipotecznie swoją nieruchomość; 2o właściciele 90-ciu morgów przynajmniej mogą mieć księgi hipoteczne gubernialne, zaś właściciele mniejszych posiadłości księgi hipoteczne powiatowe; 3o że pierwsi już obecnie mogą przystępować do Towarzystwa Kredytowego; drudzy, chociaż pozbawieni tego prawa, mogą wszakże wykonywać wszelkie inne czynności hipoteczne."

Przeciwne temu wyjaśnienia we wszystkich punktach, które dotyczą praw właścicieli osad włościańskich mniejszych od 90-ciu morgów, znajdujemy w *Podręczniku dla sędziów pokoju*, wydanym w r. 1877 staraniem profesora Miklaszewskiego.

Autor dziełka tego, przywiódłszy na str. 289 tekst powołanego wyżej art. 33 prawa o wydaniu listów likwidacyjnych, twierdzi tamże iż „postanowione w tym przepisie wyłączenie wszystkich bez wyjątku gruntów włościańskich z hipotek gubernialnych poddało tem samem rzeczone grunta pod moc artykułów 11 i 12 prawa o przyw. i hip. z r. 1825, a to bez względu na rozporządzenie, nakazujące bezzwłoczne zakładanie hipotek powiatowych tylko dla gruntów długami obciążonych; co wynikało z konieczności nienaruszania skutków już ustalonej hipoteki, bynajmniej zaś nie tamowało (w zasadzie ogólnej) możności wywoływania regulacyj i zakładania hipotek dla osad, na których żadne długi nie ciążyły." Dodaje przecież następnie, że „poddaną w tym przedmiocie pod swą decyzyą przez dyrektora głównego prezydującego w Komisyi Rządowej Sprawiedliwości kwestyę, komitet Urządzający w Królestwie Polskiem, w postanowieniu z d. 18 sierpnia 1868 roku na 261 posiedzeniu wydanem (zob. *Postanowlenija uczreditielnawo komitieta* tom XIII) rozstrzygnął w ten sposób, że nie uznał za niezbędne proponowanego przez tegoż dyrektora głównego zaprowadzenia hipotek dla wszystkich wogóle osad włościańskich i przedstawienie jego we względzie urządzenia hipotek co do osad włościańskich, nieobciążonych długami, bez skutku pozostawił, a to z tych głównie pobudek: „1o że czasowe ograniczenia w prawie rozporządzania nową własnością włościańską jeszcze nie utraciły swojej mocy; że istnienie tych ograniczeń, nie ścieśniając prawnych stosunków pomiędzy włościanami co do pożyczek i pozbywania gruntów, nader skutecznie ochrania włościan, którzy jeszcze nie umocnili się w nowem swojem gospodarskiem położeniu od obciążenia gruntów długami, do czego możność byłaby wielce ułatwioną przez przedwczesne zaprowadzenie hipoteki." Decyzye te komitetu Urządzającego Komisya Rządowa Sprawiedliwości reskryptem 7 listopada 1868 r. Nr. 10.303 podała do wiadomości wszystkich trybunałów cywilnych i sądów pokoju; przyczem zaleciła tym ostatnim, ażeby tylko dla takich osad hipoteki zakładały, które są obciążone długami hipotecznymi, a powstrzymała się od zakładania ich dla wszystkich innych."

Faktem jest, że wskutek postanowień powyższych, żądania o wywołanie regulacyi hipotek włościańskich, przed wprowadzeniem, reformy sądowej wynoszone, pozostawały bez skutku. Że obecnie wywoływania te mają miejsce, to, przy braku jakiegokolwiek śladu w istniejących zbiorach ustaw odjęcia rzeczonym postanowieniom obowiązującej mocy, za żaden co do tego dowód służyć, ani też usprawiedliwić nie może zarzutu, jaki p. N. uczynił autorowi projektu co do hipotek włościańskich, ubolewając właśnie z powodu artykułu jego, „nad małem rozpowszechnieniem wiadomości prawnych, koniecznych dla każdego obywatela kraju, by mógł skutecznie stawać w obronie praw swoich."

Niepodobna z drugiej strony przypuszczać, ażeby postanowienia wzmiankowane szanownemu autorowi korespondencyi nie były znane; musiał więc on mieć ważne i stanowcze do tego powody, że i w wydaniu *Ustaw hipotecznych* w zbiorze Hubego wszelką wzmiankę o nich pominął i w opinii wyrażonej w *Prawdzie* żadnej na nie uwagi nie zwrócił. Pożądanem byłoby wielce, ażeby te powody wyłuszczyć, a tym sposobem zachodzącą wątpliwość usunąć i strony interesowane oświecić zechciał. Racz przeto Szanowny Redaktorze ogłosić list niniejszy jako publiczne do tego wezwanie, a zarazem przyjąć zapewnienie szacunku, etc.

Czytelnik *Prawdy.*

TEATR.

Ojcowizna, komedya w 3-ch aktach p. Leopolda Świderskiego, zalecona do grania na konkursie poznańskim, przedstawiona przez Towarzystwo p. Doroszyńskiego. Teatr Letni: *Lekarstwo dla młodej dziewczyny*, komedya w 1 akcie, Ferrari'ego. *Śpiewające ptaszki*, operetka.

Walka o byt jest zawsze żywotnym tematem dla literatury realistycznej, zwłaszcza jeżeli się toczy na gruncie spraw, związanych z ogólnym interesem społecznym. Za dowód tego mogą posłużyć oklaski a nawet fanfary, które niedawno rozlegały się w teatrzyku Belle-vue na cześć p. Świderskiego, zdolnego komedyopisarza. Punktem wyjścia dla sztuki jest zbyt częste, niestety, położenie szlachcica, zagrożonego przymusową przeprowadzką z ulubionego dworku. Pan Zagonowski należy do tych poczciwych niedołęgów, którzy nie umieli w krytycznej chwili utrzymać się na rodzinnej siedzibie. Autor objektywnie ukazuje przyczyny jego upadku we własnej winie lub w niepomyślnych warunkach. Widząc wieczny jarmark i rwetes w jego domu, widząc jego słabość i niezaradność, nie dziwimy się, że zabrnął w ręce Judków i Szlomów. W podobnej sytuacyi jest także p. Krzykalski, który dał się okpić szachrajom, sprzedając majątek i lokując pieniądze u finansisty, który zrobił dobry interes na bankructwie. Obie te postacie prawdziwe, ale doprawdy niezbyt świetnie reprezentują energię naszego ziemiaństwa w walce z przeciwnościami ekonomicznemi. Gdybyśmy tylko takich Zagonowskich i Krzykalskich mieli, to niezawodnie na nowej „ojcowiźnie" niedługo by się rozpanoszyła cała armia nadsprejskich przybyszów. Cóż z tego, że poczciwy wieśniak dużo gada o miłości dla kochanej sie-

dziby, majaczy coś o kościach przodków i świętości pamiątek, gdy na te ziemię czycha potężny kapilista, który zrobił rozbrat z uczciwością, który obywatelskich uczuć nie posiada, a umie tak sprytnie się urządzić, że skupiwszy weksle szlachcica, grozi mu subhastacyą. Niema rady. Pan Zagonowski chociaż się napłakał, nadesperował, słysząc na łące odgłos ligawki, grającej fiorytury fletowe, jednakże musiałby oddać swą wioskę w cudze ręce, gdyby nie telegram, przynoszący mu wieść o niespodziewanej pożyczce. Konkurent, spadający jak z deszczem, przysyłający pieniążki na spłacenie długów, to doskonała recepta dla ratunku bankrutującego szlachcica... w komedyi. Taka opatrzność, przypominająca wujaszków z Ameryki, dzisiaj budzi w słuchaczach uśmiech niedowierzania. Pod względem społecznym również nie ma znaczenia, nie daje im pobudki do utrzymania „ojcowizny." Gdyby autor wymyślił naturalniejszy sposób ratunku, gdyby naprzykład naprzeciw niesumiennego kapitału postawił jakiś opór zbiorowy, jakieś dążenie do solidarnej pomocy, gdyby wykazał logiką faktów, potrzebę polepszenia warunków wiejskiego kredytu, wtedy rozwiązanie sztuki nabrałoby głębszego znaczenia. Podjąwszy ważne zagadnienie współczesne, autor umiał wypowiedzieć gorąco obronę „ojcowizny," umiał energicznie rzucić w twarz oskarżenie niesumiennym spekulantom, czyhającym na ziemiańską skórę, ale jako komedyopisarz społeczny nie stanął na wysokości chwili dzisiejszej. Zamiast pobudzić do energii, do odporu, zamiast wygłosić hasło praktycznego postępu, dał nam obraz niezaradności biernej, umiejącej tylko narzekać i korzystać z zewnętrznej pomocy. Siwy dziaduś p. Starowski, szlachcic poczciwy dawnej daty, peroruje wstecznie w duchu Pola; wygłasza pochwałę dla przeszłości, gdera na teraźniejszość, na wyziębienie serc, zaprzaństwo ideałów. Jest to stara pozytywka, wygrywająca zużyte morały i skargi na zepsucie wieku. Perory te skierowane są specyalnie do młodego pokolenia postępowców, które reprezentuje pan Zefiryn Zagonowski, warszawski szlifibruk i głupiec. Jeżeli te figury mogą reprezentować przekonanie jednostkowe to jeszcze mają racyę bytu, chociaż akcentowanie tych przekonań nie odpowiada celowi sztuki. Tak jednak widoczną wagę nadaje autor morałom p. Starowskiego, tak gorąco i wybitnie wygłasza je w ważnych miejscach komedyi, że wyglądają jakby były morałem sztuki. Pod względem artystycznym niezaprzeczony talent p. Świderski nie zdobył się tutaj na taką harmonię i wykończenie jak w obrazku *W jesieni*. Pomysłowość niezbyt bogata, postacie kochanków wypchane są frazesami, figury szlacheckie dobre i żywe, chociaż niektóre z nich zabarwione nadto sentymentalizmem, postacie ze świata bankierskiego wyglądają na maryonetki, chociaż pomiędzy niemi znajduje się ciekawy i dobry typ podupadłego szlachcica-faktora, niedosyć wyzyskany. Prowadzenie całości grzeszy nadmiarem frazeologii, brakiem wyrazistości, powtarzaniem i rozwlekłością, ale pomimo to talent ujawnia się tu i owdzie w trafnej obserwacyi, w żywo przeprowadzonej scenie, w dobrze wyzyskanym efekcie. Talent ten nie okazał się tu dosyć trzeźwym i krzepkim, aby mógł sprostać trudnościom wcielenia kwestyi społecznej w postacie sztuki, chociaż komedya już dla samego przedmiotu posiada istotną żywotność, tembardziej, że autor umie silnem lub ciepłem słowem trafić do przekonania słuchaczów, a grając na uczuciach i namiętnościach bardzo żywych, zyskał dla swego utworu poklask rzęsisty, któremu my tylko częściowo wtórować możemy. Większość figur komedyi znalazła w trupie p. Doroszyńskiego udatnych albo dobrych przedstawicieli, z pomiędzy których wyróżnić należy p. Linkowskiego, w roli starego dziadka, zagranej dziarsko, ciepło i prawdziwie.

Odegrana na widowisku porannem w Teatrze Letnim jednoaktowa komedya Ferrare'go *Lekarstwo dla młodej dziewczyny*, zaleca się przedewszystkiem naturalistycznym morałem. Autor bowiem słusznie twierdzi, że tem lekarstwem jest mąż, co bezwątpienia jest prawdą ale nie okupuje usterek sztuki bladej, nudnej i pospolitej. Jest tam parę figur, mających grube realne zarysy, jest trochę włoskiej *furyi*, ale zresztą niema przymiotów godnych bliższej uwagi. Z pomiędzy grających wyróżnić trzeba pannę Micińską, doskonałą w roli kumoszki, p. Turczynowicza, który zaprezentował się korzystnie jako młody włoski zawadyaka.

O operetce *Śpiewające ptaszki* powiemy tylko, że najlepszym był w niej p. Koziedradzki, który nic nie śpiewał, o balecie zaś „Pobór do wojska," tańczonym przez młody zarybek naszego baletu nie wygłaszamy wcale zdania, nie czując w sobie wysokiej kompetencyi dla pojęcia powabów i tajemnic sztuki choreograficznej.

LIBERUM VETO.

Wyścigi, wystawa rolnicza i jarmark wełniany. — Wpływ tych uroczystości na ożywienie obywatelstwa. — Przykładem p. Onufry. — Projekt taniego wydawnictwa dzieł Mickiewicza. — Jedna z tajemnic pocztowych. — Konkury o kolej iwangrodzko-dąbrowską. — Projekt do dwu obrazów. — Dostatek Osad Rolnych. — *Argus*.

Byłoby to co najmniej niegrzecznem a w każdym razie niesłusznem, gdybym dzisiejszego sprawozdania nie rozpoczął od wystawy rolniczej na Placu Ujazdowskim, jarmarku wełnianego i wyścigów konnych. Pominąwszy bowiem ważność ekonomiczną tych faktów, posiadają one wielką doniosłość moralną — wywierają wielki wpływ na usposobienie naszego ziemiaństwa. Chciałbym bardzo, ażeby mieszczuchy zobaczyli choć raz naszych panów, zgromadzonych około Kiejstuta (koń p. Grabowskiego). Ile ognia w tych zwykle szklannych oczach, ile życia w leniwych ruchach, jaki zapał, gotowość do poświęceń... w biegu z najwyższemi przeszkodami! Nietylko prawdziwy Kiejstut, ale sam Stefan Batory nie zdołałby wzbudzić równego uniesienia w tych przedstawicielach rodów, którym, jak nas zewsząd zapewniają, Opatrzność kazała prowadzić ludy, a oni prowadzą konie.

Czego Kiejstut i jego koledzy oraz koleżanki: Ajax, Woltyżer, Hilda — dokonywają w wyższych sferach ziemiaństwa, to piękna „para" lub „czwórka" sprawia w średnich. Idźcie na wystawę rolniczą i patrzcie: p. Onufry, którego zwykle trzeba palcem szturgnąć dla przekonania się, że żyje, teraz na widok rzeskiej. dobrze zaprzężonej i powożonej pary lub czwórki, macha rękami, dmucha przed siebie, wydaje okrzyki, słowem objawia nadmiar sił żywotnych. Jeżeli u nas są ziemianie obojętni na oświatę ludu, na literaturę, na sprawy społeczne, to z pewnością niema obojętnych na piękny inwentarz. Ów p. Onufry, o którym miałem zaszczyt wspomnieć, ciągle drzemie i tylko od czasu do czasu budzi się, gdy mu sąsiad doniesie o sprowadzeniu rasowego ogiera, stadnika lub barana. Wszystkie reformy państwowe nie wywierają na nim żadnego wrażenia, na wszystkie projekty ręką macha, od wszystkich postępów plecami się odwraca — i ten oto nieczuły, zdaje się, p. Onufry z chwilą otwarcia wystawy rolniczej kipi życiem i nawet we snach zachwyca się ideałami inwentarza.

Niedość tego, p. Onufry ma na jarmarku wełnę, a ponieważ za karę, że ostrzygł owce, żona jego strzyże nożycami magazynów, ma więc sposobność naocznego przekonania się o szybkości przemiany wełny na materyę i aksamit, a przeto o jej użytku. Wywozi z domu kilkanaście wańtuchów owczego runa do Warszawy, a za tydzień przywozi kufer pysznych strojów; czyż to nie dowód, że przemysł robi cuda i że owca jest zwierzęciem bardzo pożytecznem? Musiałby więc nie posiadać żadnego zmysłu socyologicznego ten, ktoby wystawom, wyścigom i jarmarkom chciał odmówić dobroczynnego wpływu na obywatelstwo nasze. Gdyby nie te uroczystości, popadłoby ono w stan zupełnego odrętwienia, zwyciężone przez pisarzów gminnych i serwituty włościańskie. Wielbiąc ten skutek, wzdycham do czasów, w których oczy naszej szlachty skrzyć się będą iskrami tego samego ognia na widok innych objawów postępu narodowego, który dziś rozgrzewa ją na widok pięknych czwórek i ujmujących par wołów.

Tymczasem ciekawy jestem, czy też na zjeździe naszych ziemian skorzystają te sklepy, do których oni zwykle w interesie żon i córek zaglądają — księgarnie. Ktoś w *Tygodniku Ilustrowanym* podał projekt taniego wydania dzieł Mickiewicza. Żałuję mocno, że jest to dopiero projekt. Gdyby był urzeczywistnionym, na trybunie wyścigowej, na kioskach wystawy i ścianach magazynów wełny przybiłbym następujące ogłoszenie: „Za resztę drobnych, wydanych w magazynie ubiorów męzkich lub damskich, za oszczędzony kurs kawalerskiej jazdy dorożką pierwszej klasy, za zmiejszenie stawki totalizatora, za obniżenie szyku w restauracyi — dostać można komplet dzieł Mickiewicza." Sądzę, że tak ponętnemu wezwaniu nikt by się nie oparł.

Tymczasem radzę przybyłym do Warszawszy ziemianom, ażeby się zaopatrzyli w świeżo wydany podręcznik, zawierający przepisy pocztowe, tj. trudne do poznania tajemnice wysyłki i odbioru listów oraz pakietów. Ponieważ dopiero uczę się na pamięć tego zakonu, nie mogę więc jeszcze uczcić tu wszystkich jego sakramentów. Pozwolę sobie tylko złożyć hołd jednemu, który naprzód zbadałem, a który ostatecznie przekonał mnie, że urzędnicy pocztowi wcale nie żartują z wydawców. Mianowicie za przesyłkę pism peryodycznych ustanowiona jest opłata, uiszczana z góry przez dzienniki miesięcznie, a przez tygodniki *półrocznie*. Wystawcie więc sobie czytelnicy, że zaprenumerowaliście sobie na prowincyi *Prawdę* 1-go stycznia 1881 na kwartał pierwszy; chociażbyście na drugi zrzekli się prenumeraty, wydawca musi opłacić przesyłkę pisma dla was za *całe półrocze*. Niedość tego. Przypuśćmy, że zapisujecie się na tygodnik w kwartale drugim; sądzicie, że poczta uwolni wydawcę od opłaty za poprzedni? Bynajmniej. Są to tajemnice, którym by nie uwierzył żaden zarząd pocztowy za granicą. Bo na jakiej zasadzie wydawnictwo ma opłacać porto za czas, w którym z przesyłki pocztowej nie korzysta? Dla tego, żeby poczcie zrobić wygodę pobierania opłaty w stałych terminach i stałych kwotach? W takim razie, dla czego dziennikowi wolno składać ją miesięcznie? Jest to przepis, który doprawdy powinien być jak najprędzej uchylony, jeśli logika i słuszność nie mają stracić znaczenia. Jesteśmy też pewni, że gdyby redakcye tygodników wniosły zbiorowe podanie do ministeryum, uzyskałyby zmianę tego przepisu i uwolniły się od uciążliwych kosztów. Tymczasem, szan. abonenci westchnijcie na intencyę wydawców, których kłopoty pocztowe nawet w przybliżeniu nie są wam znane.

Bawiącym u nas z prowincyi gościom nie możemy zrobić przyjemności nowiną, że kolej iwangrodzko-dąbrowska już zatwierdzona. Dotąd bowiem tańczy ona kontredansa po pismach „dobrze poinfor-

mowanych" zmieniając co chwila wybrańców. Dla prasy naszej jest to bardzo pożądanem. Od czasu jak kanalizacya opuściła szpalty dzienników i przestała nas intrygować, straciliśmy zupełnie przedmiot publicznego zaciekawienia i dopiero kolej iwangrodzko-dąbrowska, oddając codzień innemu oblubieńcowi swą rękę, podnieca naszą uwagę. Nie pamiętam, kto ostatni posiadł jej względy, bo wiedziałbym komu one dziś z kolei przypadają — p. Blochowi, czy p. Wielopolskiemu. Ach, prawda do konkurentów zapisało się jakieś towarzystwo z Moskwy, która chce zarazem wykupić akcye drogi Terespolskiej. No, popukajmy w palce, czy czasem szczęście nie wypadnie dla tych zalotników. Co do mnie, wcale bym się nie zdziwił od chwili, w której ogłoszono, dla czego tutejsze towarzystwo ubezpieczeń od gradobicia nie mogło przyjść do skutku.

Jeszcze się nie skończył stary rok szkolny, a już gazety zapowiadają nam w nowym brak miejsca w gimnazyach dla nowo wstępujących uczniów. Skutkiem tego proponuję malarzom naszym pomysł do dwu rodzajowych obrazów. Na jednym z nich malec, wabiony do szkoły—z podpisem: *na zgniłym Zachodzie*; drugi znowu przedstawia malca płaczącego pod oknem szkoły, do której mu wejść nie wolno — podpis: *u nas inaczej*... Kopie z tych obrazów zamawiam naprzód dla siebie, a sądzę, że one znajdą bardzo wielu amatorów.

Nie traćmy jednak nadziei. Osady Rolne, zasilane corocznie obfitą jałmużną, założą nam niewątpliwie gimnazyum i tym sposobem małoletni przestępcy staną się dobroczyńcami małoletnich poczciwców, przed którymi szkoła drzwi zamyka. W tym roku z odczytów w Ratuszu kasa Osad dostała 4.368 rs. — dochód, jakim nie może się pochwalić żadna może instytucya dobroczynna. Niezmierzoną bowiem jest ta miłość, którą objawiamy małoletnim przestępcom. Podczas gdy podrzutki giną na ulicach, wdowy i sieroty po lekarzach mrą z głodu, pieszczochy ze Studzieńca pędzą życie wygodne. Nie żałuję im, sądzę tylko, że część z obfitych ofiar na Osady Rolnę dałaby się korzystniej zużytkować na inne cele. Przestrogę tę adresuję naturalnie nie do Zarządu tej instytucyi, który bierze, co mu dają, ale do społeczeństwa, które wiedzieć powinno, ile i gdzie dawać.

Sprawę tę polecam zapowiedzianemu w Wilnie *Bodźcowi*, poprzedzonemu obecnie przez *Argusa*, który w swych satyryczno-humorystycznych kartkach egzekwować pragnie obywatelskie powinności arystokracyi naszej. Dlaczego ta egzekucya jest często mdła, dlaczego dowcip za kruchy, dlaczego cały zbiorek cierpi na niedokrwistość — zgadujemy i nie robimy wyrzutów. Owczem, cieszy nas niewymownie, że Wilno, dzięki nieocenionemu przykładowi p. Orzeszkowej, objawia coraz wyraźniejsze życie umysłowe i rozwija działalność wydawniczą. Zresztą *Argus* nie jest gorszy od wielu tego rodzaju motylów, rodzących się na bruku warszawskim. Są nawet artykuliki głębszego pomysłu. Tak np. Rodoć śpiewa:

Niechaj będzie obskurantem,
Bez zasad, czy z zasadami,
Osławionym intrygantem,
Stańczykiem nad stańczykami,
Byle dobrym był polakiem,
To ja, ceniąc w nim patryotę,
I idąc bezstronnym szlakiem,
Skronie mu laurem oplotę.

Niech będzie konserwatystą,
Szarym, burym, żółtym, białym,
Najczarniejszym egoistą,
Arystokratą zuchwałym;
Byle dobrym był polakiem,
To ja, ceniąc w nim patryotę,
I idąc bezstronnym szlakiem,
Najpierwszy mu przyznam cnotę.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do pożarów. Nadchodzące ustawicznie wieści o coraz nowych pogorzelach nie robią już na nas żadnego wrażenia, wydają się czemś tak zwykłem, jak skwar letni. Znowu ogień zniszczył wsie i miasteczka w rozmaitych okolicach kraju: w Lubelskiem (Wąwolnica), w Podlaskiem (Ostrów), w Augustowskiem (Władysławów). Ponieważ nie są to klęski wyjątkowe, ale tak regularne, jak pory roku, należałoby co najmniej zastanowić się nad ich przyczynami, uświadomić sobie nieszczęście, które corocznie pochłania nam miliony rubli.

Według naszego zdania, przyczyny te tkwią w trzech źródłach: w wyłącznem używaniu drzewa jako materyału budowlanego, w braku należytych środków bezpieczeństwa i w moralnem zdziczeniu naszego ludu.

Co do pierwszego faktu, nie potrzebujemy zbyt długim wywodem przekonywać, że gminy we wsiach a magistraty w miastach winnyby rozciągnąć staranniejszy dozór nad budową domów. Dotąd u nas na prowincyi jej gospodarzom nawet nie przebłyskuje ta myśl, ażeby kogoś można było krępować w tym względzie. Gdyby nawet znalazł się amator, któryby ulepił sobie chatę z dynamitu i pokrył ją zapałkami, spewnością nikt by mu nie przeszkodził. Drzewo i słoma, dotąd wyłączne po wsiach i miasteczkach materyały budowlane, powinny nakoniec ustąpić miejsca cegle i dachówce a przynajmniej przyzwać je do pomocy. Inaczej... będziemy patrzyli na te łuny w całym kraju, które teraz oglądamy.

Powtóre, narzędzia do gaszenia ognia nie powinny być słabą stroną gospodarki prowincyonalnej. Jeżeli miasto posiada jedną beczkę dziurawą i jedną sikawkę, na której dzieci p. pisarza się huśtają, to naturalnie nic dziwnego, że ogień rozpościera się szybko. Pluciem go przecież, ani łzami pogorzelców zagasić niepodobna.

Niema wątpliwości, że znaczna część pożarów wynika z podpaleń. Z nadejściem wiosny lud nasz zwykle rozpoczyna dzieło swojej zemsty z pochodnią w ręku. Sąsiad, który proces wygrał, obywatel, który za kradzież w lesie do odpowiedzialności pociągnął, wszyscy, którzy wzbudzili nienawiść, mogą stać się ofiarami skrycie podrzuconego pod dom lub stodołę tlejącego gałgana i węgli.

Chcąc zatem zażegnać peryodycznie spadającą na nas plagę, należałoby przystąpić do usunięcia jej przyczyn z różnych stron. Dopóki zaś chłopek lub mieszczanin będzie tak nieograniczonym w budowie swego gniazda, jak ptak lub zwierz leśny, dopóki sikawki figurować będą tylko w inwentarzach gminnych i miejskich, dopóki wreszcie szkoła nie oświeci naszego ludu, dopóty on będzie oświecał nam kraj... pożarami.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 15 czerwca.

Na scenie politycznej francuskiej, która w tej chwili przoduje w zainteresowaniu świata, zapanowała pora wielkich niespodzianek. Uchwalenie reformy wyborczej (głosowanie z list) w Izbie deputowanych nastąpiło wbrew uzasadnionym powątpiewaniom; wkrótce potem, wbrew znowu równie uzasadnionym nadziejom, wniosek przyjęty w Izbie poselskiej upadł w Senacie. Większością 148 głosów przeciw 114 Izba wyższa odrzuciła ustawę o przywróceniu wyborów departamentalnych, a tym sposobem zmiana, protegowana tak usilnie przez Gambettę, utonęła przed samem dopłynięciem do brzegu. Nie jestto wprawdzie upadek wieczny, ale pociecha na późniejszą przyszłość niewiele już teraz znaczy; wybory bowiem do nowej Izby, nadchodzące właśnie, nie będą mogły odbyć się według systemu pożądanego przez gambetystów. W gruncie rzeczy opozycya Senatu była więcej skierowaną przeciw osobistej przewadze Gambetty, niż przeciw samej zasadzie reformy wyborczej. Grévy, Simon i t. d. nie mogli znieść spokojnie potężniejszego wpływu „dyktatora" i rozwinęli wszystkie siły, aby mu się oprzeć, co w Senacie nie przyszło z wielką trudnością. Czy to chwilowe zwycięstwo wyjdzie im na dobre, jest rzeczą bardzo wątpliwą. Gambetta skutkiem uchwały Senatu nic nie stracił z tego, co posiadał; sprzątnięto mu tylko jeden więcej nowy tryumf, możliwy jeszcze do odzyskania w przyszłości, a natomiast agitacya przeciw Senatowi pozyskała nową podnietę. Na razie, po zniknięciu pierwszego, burzliwego wrażenia, namiętności się ułożyły. Nie przyszło ani do upadku gabinetu, ani do wcześniejszego rozwiązania Izby, co w pierwszej chwili zapowiadano. Cisza ta wszakże, spowodowana potrzebą uchwalenia budżetu przed rozpuszczeniem parlamentu, bynajmniej nie znaczy, aby Senatowi dano za wygranę. Może nie źle patrzy na stan rzeczy jeden z dzienników paryskich, który powiada, że wuchwale senatorów, powziętej na złość Gambecie a dla miłości Grévego, przebija się głośnio stare rzymskie: *morituri te salutant*. Rewizya konstytucyi i zniesienie Izby wyższej zyskało teraz na zwolennikach.

Najwybitniejszym, obok francuskich spraw, objawem bieżącej chwili jest szybko upadający blask i pomyślność polityczna Anglii. Kwestya irlandzka rozogniła się w ranę niemożliwą już do zagojenia bez radykalnych środków pomocy. Rewolucya występuje wformach coraz bardziej widomych. Bójki ludu z policyą i wojskiem, w samej Irlandyi, próby wysadzenia w powietrze gmachów rządowych w Anglii, podobno i zatopienie okrętów, — oto fakty, rozwijające się na tle sprawy irlandzkiej. Dla rządu pozostają do wyboru tylko dwie drogi: albo wystąpienie z gwałtowną siłą brutalną, albo zaspokojenie zupełne żądań irlandczyków. Ponieważ na to drugie nie pozwoli parlament, który się poci obecnie nad setkami poprawek homerulerów do bilu gruntowego — musi więc nastąpić pierwsze.

Niema się co dziwić, że w takim stanie rzeczy i potęga zewnętrzna Albionu traci powagę, że np. Rosya najspokojniej zawarła już układ o protektorat nad Merwem, na którego myśl burzyła się niedawno jeszcze zimna krew Johna Bulla.

Ciekawa wiadomość przychodzi z Berlina. Rząd księcia Bismarka, który nie na żarty już uległ poważnej chorobie, uznał nareszcie, że mu się grunt z pod nóg ciągle usuwa. Skutkiem tego parlament ma być spiesznie zamknięty a nowe wybory powszechne, które się miały odbyć w październiku, rozpisane będą na lipiec, ponieważ zwłoka wychodzi tylko liberalizmowi na korzyść.

Ze spraw wschodnich wspomnieć należy o podróży księcia serbskiego Milana w celu pozyskania dworów zagranicznych dla myśli wyniesienia Serbii do godności królestwa. Przyjęty mile w Wiedniu i Berlinie, udał się do Petersburga, gdzie także znajduje poparcie. Europę więc wkrótce

wzbogaci jedno królestwo więcej. W Bulgaryi tymczasem ustanawiają rady wojenne, wsadzają do kozy naczelników opozycyi, wypędzają korespondentów (*Golosa*) i — podobno przygotowują plebiscyt. Będzie on pewno tyle wart, co wszystkie plebiscyty. *S. S.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wystawa rolnicza. W Retowie, miejscowości należącej do ks. Ogińskiego, w gubernii kowieńskiej, powiecie rosieńskim, urządzoną zostanie w dniach 27, 28, 29 i 30 września st. b. r. wystawa inwentarza żywego, ziemiopłodów, narzędzi rolniczych, sprzętów i w ogóle wszystkich przedmiotów, używanych w gospodarstwie rolnem do zmniejszenia pracy inwentarza, dalej gospodarskich budowli i urządzeń, w ogóle tego wszystkiego, co ma związek z ulepszeniem gospodarstwa i losem inwentarza gospodarskiego.

Uczestniczyć w wystawie mogą: wszyscy posiadacze ziemi, dzierżawcy i włościanie gubernii kowieńskiej i sąsiednich. Przeznaczone na wystawę przedmioty powinny być wyrobem samychże wystawców; inwentarz powinien być ich chowu, zboża i rośliny pochodzić z roli do nich należącej.

Termin przyjmowania przedmiotów trwać będzie od daty dzisiejszej do dnia 15 września st. st., inwentarza zaś i rzeczy rychło się psujących od dnia 22 do 25 września. Przedmioty, dostarczone po za tym terminem, nie będą przyjmowane.

Rocznica. Anglia obchodzi stuletnią rocznicą śmierci wielkiego wynalazcy kolei żelaznych Stephensona.

Doktoryzacya. W Kazaniu 29 maja bronił rozprawy z zakresu językoznawstwa młody uczony, Mikołaj Kruszewski.

P. Kruszewski, syn obywatela ziemskiego z gubernii wołyńskiej, skończył w r. 1875 uniwersytet warszawski. Następnie, dopuszczony do wykładu języków klasycznych w gimnazyum troickim (w gubernii orenburskiej), przebył tam trzy lata. W r. 1878, porzuciwszy miejsce nauczyciela, przeniósł się do Kazania, dla zajęcia się językoznawstwem pod kierunkiem prof. Baudouina de Courtenay. Zostawszy nadetatowym „stypendystą profesorskim,“ pierwszy rok musiał się utrzymywać własnym kosztem i dopiero w r. 1879 dostał tak zwane „stypendyum profesorskie“ (600 rublowe) na półtora roku, tj. do 1 stycznia r. 1881. Również w r. 1879 (na wiosnę) obronił p. Kruszewski rozprawę „pro venia legendi“ i został dopuszczony do wykładu niektórych oddziałów językoznawstwa w charakterze prywat-docenta. Obowiązki te pełnił od początku r. 1880, składając jednocześnie egzamin magistrowski. Obecnie zaś obronił on bardzo świetnie swoję rozprawę magistrowską p. t. „K woprosu o gunie. Izsledowanije w obłasti starosławianskago wokalizma.“ (W kwestyi guny. Badanie w zakresie wokalizmu starosłowiańskiego. Warszawa 1881). Urzędowymi oponentami p. Kruszewskiego byli profesorowie Bielajew (wykładający filologię klasyczną) i Baudouin do Courtenay. Pierwszy z nich, uznając doniosłość badań magistranta wogóle, potrącał tylko o drobniejsze kwestye, przy czem, jako niespecyalista, nie zawsze potrafił przenieść się na stanowisko krytykowanej rozprawy. Drugi oponent urzędowy, będąc zwolennikiem tego samego kierunku w językoznawstwie, co i sam p. Kruszewski, nie mógł mu robić zarzutów ogólnych; wskazał więc tylko na różne niedokładności i częściowe omyłki w obrobieniu szczegółów. Kończąc zaś swoje zarzuty, prof. Baudouin oświadczył, że literatura lingwistyczna została wzbogacona książką, zawierającą wiele nowych myśli, uczącą i zmuszającą do myślenia.

Do najbardziej zasługujących na uwagę zjawisk w zakresie literatury lingwistycznej należy świeżo wydana w Kazaniu broszura tegoż autora p. t. *Ueber die Lautabwechslung* (*O przemianach dźwięków*). Jest to przerobiony po niemiecku i znacznie rozszerzony wstęp do rozprawy magistrowskiej p. Kruszewskiego. Niezwykła ścisłość myślenia, śmiałość uogólnień i wogóle metoda naukowa, odpowiadająca wymaganiom logiki, cechuje tę niewielką co do rozmiarów, ale bogatą co do treści książeczkę. Kto chce bez wielkiej straty czasu zaznajomić się z ogólnemi zasadami jednego z obszernych oddziałów gramatyki naukowej, niech starannie przestudyuje pracę p. Kruszewskiego.

Literatura polska. Z szeregu powiastek historycznych wydawanych dla ludu i młodzieży przez Józefa Grajnerta ukazała się w handlu księgarskim książeczka czwarta, zatytułowana: *Dziwne przygody Lorka Szlązaka* (opowiadanie z dziejów Polski).

— *Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej*, tom 89 opuścił prasę i zawiera: *Dzieje literatury powszechnej* (ciąg dalszy); *Komedyę ludzką* przez Honoryusza Balzaka (ciąg dalszy); *Komedye wybrane Lope de Vegi*, w przekładzie J. A. Święcickiego (ciąg dalszy); oraz *Pieśń o Nibelungach*, w przekładzie A. J. Szabrańskiego (ciąg dalszy).

— Świeżo opuściła prasę broszura p. Napoleona Węgleńskiego p. t. *O przyszłości religijnej*.

— Ukazał się w handlu księgarskim wydany w Wilnie zbiór szkiców satyryczno-humorystycznych p. t. *Argus*.

— Józef Kirszrot *Myśl Banku hipotecznego*, Warszawa.

Dziennikarstwo polskie. P. Eugeniusz Babiński, przełożony jednego z zakładów naukowych w Warszawie, otrzymał pozwolenie na wydawnictwo pisma pedagogicznego.

Literatura litewska. Zwracamy uwagę miłośników języka litewskiego na działalność niezmordowanego pracownika, prof. Jana Juszkiewicza w Kazaniu. Dawniej wyszedł pierwszy tom pieśni litewskich, zebranych przez jego brata, księdza Antoniego Juszkiewicza. W wydaniu ich brał udział sam zbieracz, a wyszły one na parę tygodni przed jego śmiercią. W wydaniu *Obrzędów weselnych* mógł on wziąć tylko częściowy udział, a dokończyć tej pracy musiał już sam prof. Juszkiewicz. Ukazała się ona p. t. *Svotbine reda Veluonyczių Lietuvių surasztya par Antaną Juszkeviczę* 1870 *metuose* (Obrzędy weselne litwinów wełońskich, opisane przez Antoniego Juszkiewicza w 1870 r. Kazań 1880). W tych dniach wyjdzie drugi tom pieśni litewskich p. t. *Lietuviszkos dajnos uzraszytos par Antaną Juszkeviczę Veluonos apigardoje isz żodżiu Lietuviu dajnininku ir dajnininkiu Antra knyga* (Pieśni ludowe litewskie, zapisane przez Antoniego Juszkiewicza w okolicach Wielony ze słów litewskich śpiewaków i śpiewaczek. Tom drugi. Kazań 1880). Wszystkie te dzieła są do nabycia między innemi w Warszawie, w księgarniach Wendego oraz Gebethnera i Wolfa.

Literatura niemiecka. J. Lippert, *Die Religionen der europäischen Culturvölker in ihrem geschichtlichen Ursprung*. W Berlinie u T. Hofmanna.

— Stephan zu Putlitz, *J. P. Proudhon. Sein Leben und seine positiven Ideen.*

— Wernich A. dr., *Die Medizin der Gegenwart in ihrer Stellung zu den Naturwissenschaften und zur Logik*. Berlin. G. Reiner.

— Pecht Fr., *Deutsche Künstler des neunzehnten Jahrhunderts. Studien und Erinnerungen.* Nördlinger, C. Beck.

— *Polen und die Grossmächte.* Lipsk. Wilh. Friedrich.

— Müller Wilh. prof., *Politische Geschichte der Gegenwart. Das Jahr* 1880. Berlin Jul. Springer.

— Berger Osc. dr., *Das Verhalten der Sinnesorgane im hypnotischen Zustand.* Wrocław.

— Christyan von Sarauw, *Die Feldzüge Karl's des XII*. Lipsk Schlicke. Wyczerpująca monografia o Karolu XII.

— Ed. von Weiterschein: *Geschichte der Völkerwanderung*. Lipsk. Weigel. Nowe wydanie znacznie powiększone i przerobione przez Feliksa Dahna.

— Brockhaus w Lipsku rozpoczął wydawnictwo p. t. *Anzeiger für Slavische Literatur*, którego zeszyt pierwszy zawiera bibliografię za rok 1879 i 1880 literatury rosyjskiej, polskiej, kaszubskiej, czeskiej, słowackiej, serbsko-kroackiej, bulgarskiej i litewskiej. W końcu zamieszczono spis dzieł, odnoszących się do historyi i literatury słowian, pisanych w narzeczach niesłowiańskich. Przy niektórych dziełach podano krótką treść lub ocenę.

Konkursy. Akademia Nauk moralnych i politycznych w Paryżu ogłosiła następujący temat dla uzyskania nagrody O. Barreau na r. 1883: *Przedstawić ogólne rysy rozmaitych systematów organizacyi gmin i departamentów we Francyi od roku 1789, w porównaniu z podobną organizacyą w innych krajach.*

— Wydział nauk moralnych tejże akademii dla pozyskania nagrody Bordina w r. 1882 ogłosił temat: *Krytyczny rozbiór zasad, na których wspierają się teorye, noszące miano socyologii.*

— Societé des études historiques w Paryżu ogłosiło konkurs na napisanie dzieła p. t. *Historya księstw naddunajskich od czasu najścia turków do traktatu Unkiar-Ikelezyjskiego.*

Malarstwo i rzeźba. Hipolit Lipiński, malarz, wykończył nowy obraz znaczniejszych rozmiarów, *Przed procesyą*. Krytycy krakowscy o utworze tym wyrażają się nader pochlebnie.

— Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły dzieła następujące: Brodzkiego Wiktora, *Popiersie młodzieńca;* Głębockiego Adryana, *Ś-ty Stanisław;* akw. Jorik Heleny, *Zakonnik;* Maszyńskiego Juliana, *Serenada;* Millera Karola dwa obrazy, *Portret mężczyzny i damy;* Moniuszki Jana, *Opowiadanie o Jagielle i Jadwidze;* Piwnickiego Witolda, *Przeprawa;* Er. Ravona, *Lago Magiore;* Salcmanna, *Krajobraz;* Wilianson Elizy, *Małgorzata w Faušcie* (na porcelanie).

— Do salonu Krywulta w Hotelu Europejskim, przybyły następujące obrazy:

Kossaka Juliusza, *Wspomnienie z Bałty;* akw. *Wspomnienie z błoń krakowskich;* akw; Lipińskiego Hipolita, *Przed procesyą w Krakowie;* Gramatyki Antoniego, *Spowiedź Robaka* (z Pana Tadeusza); Bardzkiej, *Portret Damy;* Dulembianki Maryi, *Cyganka, Główka;* Pruszkowskiego Witolda, *Paleta;* Tondosa Stanisława, *Brama Floryańska w Krakowie* akw.; Falata Juliana, *Przy pracy* akw.; Tombiński, *Popiersie dr. Majera;* rzeźba; Daczyńskiego: *Polowanie, Zima;* Kostrzewskiego: *Nowe rozporządzenie, Co będzie jutro;* Rosena Jana, *Przed krzyżem, Przestrach, Przed biegiem, Po biegu:* Michałowskiego, *Jeździec;* Piotrowskiego, *Zima*.

Teatr. Na scenie krakowskiej odegrano z powodzeniem, komedyę oryginalną Stroki p. t. *Przegrana kampania*.

— W Alhambrze wystawiono po raz pierwszy krotochwilę ś. p. Dobrzańskiego p. t. *Złoty cielec*, oraz operetkę Adama, *Chatka*.

— W Eldorado wystawiono po raz pierwszy komedyę tłomaczoną z francuskiego p. t. *Panny na wydaniu*, oraz operetkę jednoaktową z muzyką Delibes'a p. t. *Wąż w pierzach*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Zaleskiemu w Lubarze. Wysyłamy ciągle; odbierze Pan zagubione numery ponownie; list zakomunikowaliśmy poczcie.

P. W. B. w Gorlicach. Dokończenie pracy Pypina wyjdzie w tym miesiącu. Niespodziewane przeszkody nie pozwoliły nam uczynić tego wcześniej. Żądany numer wysyłamy.

P. Dauterowi w Irkucku. Kompletu z I-go kwartału nie posiadamy; zostały nam tylko niektóre numery. Czy je przysłać? Tymczasem ekspedyujemy od kwartału drugiego.

— *P. W. Nik. w Rosohowatej.* Kompletu z kwartału I-go dostarczyć nie możemy. Zapisaliśmy i wysyłamy od II-go.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Iюня 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.